Nalepić na wewnętrznej okładce książki.

Zanim zaczniecie czytać książkę....

W Polsce jest książek stosunkowo mało.

Każdy, kto nie szanuje książek, niszczy je i przyczynia się przez to do zmniejszenia ich liczby, do podrożenia książek, postępuje jak wróg oświaty, uszczupla bogactwo swego narodu

Kto szanuje książkę ten:

1) nie dotyka książki brudnemi palcami, lecz myje ręce przed rozpoczęciem czytania;
2) okłada książkę starannie w czysty papier lub przynajmniej w gazetę;
3) nie ślini palców przy przewracaniu kart, lecz ujmuje je delikatnie dwoma palcami od góry lub z dołu;
4) nigdy nie trzyma w ręku książki, złożonej okładkami od siebie, bo w ten sposób niszczy się jej grzbiet.

Kto dba o swój wzrok, stan kręgosłupa, stan płuc, ten:

1) czyta tylko przy dostatecznem oświetleniu;
2) trzyma książkę w oddaleniu 30—40 cm. od oczu;
3) przy czytaniu siedzi prosto i wygodnie, nie ugniatając piersi, oddycha swobodnie, układa książkę nie o pochyło tak, aby wzrok był skierowany możliwie prostopadle do powierzchni strony. W tym celu opiera ją o doraźnie zrobioną podpórkę z kilku innych książek.

Kto chce sam uniknąć choroby zakaźnej lub ustrzec od niej innych, ten pamięta, że

książka, przechodząc z rąk do rąk, przenosi ze sobą mnóstwo drobnoustrojów, między któremi mogą być i chorobotwórcze.

Najskuteczniejszym środkiem uchronienia się od nich jest czystość.

Dlatego należy

1) podczas czytania nie dotykać oczu ani ust;
2) nie czytać przy jedzeniu;
3) nigdy nie czytać w chorobie gorączkowej lub zaraźliwej, aby nie mieć na sumieniu zarażenia innych.

Ponadto pamiętajcie po przeczytaniu książki, wypożyczonej do czytania, nie trzymać jej niepotrzebnie u siebie, lecz natychmiast zwrócić.

R. M. 1890

0.30
487

UTWORY EPICKIE
STEFANA ŻEROMSKIEGO
WYDANE W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
ODRODZENIA PAŃSTWA POLSKIEGO

Nr. 1034.

WISŁA
MIĘDZYMORZE

108

MCMXXIX
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do przeróbek i tłumaczeń zastrzeżone.
Copyright by J. Mortkowicz, nineteen hundred twenty nine.

WP
Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka Radom
58628
884-3

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58628
BGZs 58628

K-9/84/310

DRUKARNIA NAUKOWA T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE
RYNEK STAREGO MIASTA 11

WISŁA

NOWY LĄD

Suchy wiatr spalił już wielkie śniegi. Gorący podmuch wyniósł je w przezroczyste niebiosa. Płyną teraz w widnokręgach dalekich, złote zarazem i białe, śniade i rumiane, puszyste i bujające, jak włosy czteroletniej dziewczynki. Po śnieżnem panowaniu w głębokich lasach jeszcze się nie wyprostowały zeschłe trawy i zmartwiałe byliny. Leżą wygniecione przez ucisk zasp, na płask rozpostarte po ziemi, oczywiste uprzytomnienie ciężaru zlodowaciałych pokładów. Blask słońca wszystko z martwych wskrzeszający tu i tam na nie przypada, — poprzedzierany przez fioletowe cienie śniatów bukowych i pniów świerka, jakby łaski pełne spojrzenie poprzez palce, przesłaniające boskie oczy. Gdziekolwiek wpośród rudych porostów strumyczek wiosenny w nizinę się przesącza, tam żółtą smugą rodzina jaskrów wytryska. Z pomiędzy zeschłych badylów lśni tu i owdzie przylaszczka, podobna do barwy kwietniowych niebios. Ledwie dosłyszalny szmer wiosennej wody podnosić się zdaje, przypominać i uwydatniać tajemniczy

zapach ziół, ledwie rodzących się w owej chwili. Jak czarodziejskie młodości natchnienie, jaśnieją w dalekiej puszczy sosnowej brzozy, owiane nieoztulonemi listkami. Spojrzenie w każdą stronę jest odkryciem cudu i zwiastowaniem o nim czującej duszy. Każde takie powzięcie pełną miarą zapomnienia się od szczęścia podnosi do warg zeschniętych, do gardła ściśniętego od łez. Na wzór rozkwitającej przylaszczki serce wita się z niebiosami, jak za dziecięcych dni, jak przed straszliwą zimą doświadczeń. Powolny wiatr wywiewa z niego i zabiera na błogosławione swe skrzydła nieprzezwyciężoną noc udręczenia.

Daleko, dokąd wzrok nie sięga, za błękitnemi mgłami śni swe przedwiośnie długa, szeroka, nieprzymierzona, nieobeszła, nieogarniona ziemia. Trawi swój pokarm i napój wysysa. Drży w wiosennym oparze. Zapadły się w jej głębokość tysiące tysięcy ciał przychodniów z dalekich stron, — z za siedmiu gór, z za dziewięciu rzek. Tysiące tysięcy nóg deptały ją i tratowały, przemierzyły jej kręte, wąskie i mylne drożyny, — brnęły w błotach, zarabiały się w piaskach i więzły w glinach, — tłukły się i zbijały o jej kamienie, idąc naprzód i w tył, wciąż w siną dal, — od zaoranyh do rozgrodzonych jej granic. Brali ją w posiadanie chciwemi oczami, przezywali jej

niedolę zelżywem słowem, przywłaszczali sobie jej odwieczną biedę nigdy tutaj niesłyszanemi nazwami. Setki tysięcy zwierzyły jej ostatni swój jęk i ostatnie miłosne słowo, gdy, upadłszy, nisko leżały, krzyżem na męczennicy, — gdy gruntowały najdokładniejszą, nieomylną, własną miarą głęboką otchłań cierpienia.

Wchłonęła ich, jako swoją zdobycz wojenną, chciwa z głodu ziemia niewoli. Zapuszczają się teraz wylękłe nici młodocianych korzeni w jej głębinę i pełnymi łaski zwojami oplatają tajemnicę straszliwe. Kwiaty wiosenne, nie znające nigdy o niczem pamięci, po to tylko potrzebne, żeby wiekuiste, na nic nikomu piękno kształtować, — pić poczynają soki zdrowe i wydychać woń czarodziejską z tajemnicy straszliwej. Jak przez kwiat wiosny, który litości nie zna, żalu nie czuje, — płynąć poczyna zdrowie duszy poprzez siły cielesne pokolenia nowego. Potępione przez nie zostanie, zapomniane, wzgardzone, nastąpnięte stopą nieszczędną truchło, zapadłe w ziemię, gnój podglebny, próchnica, wołająca o lemiesz i kilof.

Przypływ i odpływ oceanu nie jest tak nieprzezwyciężony, toń jego nie jest tak niezgruntowana, jak wielką była otchłań hańby i przepaść cierpienia, zalewająca tę ziemię. Bezdenny ciężar martwego oceanu sto lat ta ziemia dźwigała na

sobie. Aż oto anioł straszliwy poruszył go do dna, — począł kołysać, rozdzielać, rozkładać na ludy wolne, na ludy w sobie samych zaślepione, od pychy swej oszalałe. Pchnięte skrzydłem anielskiem pociągnęły głuche wody na wschód — na zachód. Poznały ziemie słoneczne lądy szczęśliwe, ciężar przypływu cierpienia. Zrozumiały ludy wyniosłe męczarnię niewolnicy milczącej. W słońcu wiosny odsłaniać się począł wielki, zapomniany, nowy ląd. Stare nawroty wód, wyżłobionemi dążąc szlakami, jeszcze się po nim tarzają. Jeden z nawrotów wydarł milion młodzieńców kwitnących i mężów potężnych ze środka miast i siół, — pod znakiem odwiecznego tyrana postawił ich pierś przeciw piersi w bratobójczym boju na ojczystej równinie, lub wymiótł w góry Kaukazu, w doliny Azyi, ponad przepaście morza. Drugi — bezimiennych trupów polskich setki tysięcy rozrzucił, rozmiótł, rozwlókł po obliczu ziemi: — u wrót fortecy Verdun, która na swej bramie wyryła napis, równie niezłomny, jak ona — «*s'ensévelir sous tes ruinas plutôt que se soumettre*», na drogach Francyi, Belgii, Serbii, Rumunii, w błotach Rygi, w lasach Litwy, w górach Albanji, w dolinach Macedonji, nad krwawą rzeką Isonzo, w przepaściach Tyrolu i w piaskach Palestyny. Trzeci — ze skłębionych odmętów

swej burzy, z łona tego trzęsienia ziemi, które własną jego naturę przewróciło na nice, wydaje milion zrabowanych dusz, milion serc i milion prawic męskich, które orła wolności przyciskają do piersi, spalonych tęsknotą. Czwarty — z najgłębszej, najurodzajniejszej gleby wyłamał pół miliona pracowników, ażeby z nich uczynić sanskryckie d w i p a d a, pociągowego dwunoga, starogreckie a n d r a p o d o n, bydlę robocze z ludzkiemi nogami, rzymskie m a n c i p i u m, czyli to, co się ręką w jarzmo ima. Inny — pokonał dzieci w kołyskach, wytracił chorobami podrosłe, nauczył pokolenie odziewać się mrozem i deszczem, opasywać głodem, podpierać na drogach swej ojczyzny krzywdą i zniewagą.

Lecz każda noc, która kona, odsłania coraz dalsze zarysy nowego lądu. Każdy dzień, który się z nocy rodzi, ukazuje przestrzeń coraz dalszą...

Bądź pozdrowiona, przenajdroższa ziemio nasza, którą czciliśmy miłością bezdenną, gdyś była pod otchłaniami wód niewoli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki wieków świętą! Bądź pozdrowiona w sercu pokolenia, co się jeszcze morduje i cierpi, — oraz w sercu przyszłych, szczęśliwych i radosnych!

WISŁA

I

Poczęcie Wisły dokonywuje się wśród świstu-poświstu wiatrów południa i wiatrów zachodu przypadających na jasne mgły w kwiecistych tatrzańskich dolinach i na wilgotne obłoki, ledwie powstałe z pomiędzy koron sosnowych w szerokiej puszczy Beskidu.

W łonie chmury czarującej, której kształt nieprzerwanie nowy już się nigdy nie powtórzy, a piękność jedyna już nigdy drugi raz nie przepłynie w niebiosach, staje się Wisły istnienie.

Nadranna rosa wiosny, ciepły letni deszcz, różany szron jesieni i szadź, okrywająca martwymi kolcami bezlistne drzewa, długotrwałe zimowe ulewy, ślepa zawieja i grad wszystko wyniszczający wciąż odnawiają nieprzeliczone jej źródła.

Ze śniegowic, klinem wciosanych w szczeliny skalne między trzonami szczytów podniebnych, na których roztrzaskuje się wściekły huragan, wyją furye burzy, ciężarne w zaspy śniegu i kamienie gradowe, — sączą się w źleby zawalone mokrymi piargami wysokie wody do stawów.

Ze skalnych jezior, zawieszonych jakoby lutnie, zawsze nowe pieśni samogrające, z kotlin wysiedzianych u podnóża krzesanic przez cielska lodowców, które odeszły były przed szesnastoma tysiącami lat w północne strony, — uciekają strumienie wieczyście żwawe wyłomami w morenach, przez milion lat uzgarnianych.

Z pieczar, drążonych przez kamienne pokłady wskutek wzdrygnienia bezdennej wapiennej skaliny, gdzie czarne powierzchnie jezior podziemnych trwają nieruchomo w mroku przenigdy nierozdartem spojrzeniem oczu istoty żyjącej, — skradają się wody czarne chodnikami wykapanymi w granicie, lub wyżartymi w wapieniu do przepaści głębokiej, którą biały ich wodospad napełnia powabem niewysłowionym.

Z łanów leśnych, sianych wytrwale przez zamierzchłość stuleci po garbach nieprzebytych wzgórz Śląska, z trzęsawisk torfowych, ponad któremi najobfitszy mży deszcz, z pośród gnatów korzennych wieloramiennego buka i dębu niepołoma, z pościeli mchów, otulających stopy jodeł i świerków, z zagaja młodej olszyny, paproci i podbiałów, — ściekowiskiem wykapu ze smereku wylewa się Czarna Wisła.

Głębokimi wąwozy, po wielkich złomach kamieni i kłodach zwalonych drzew, na dnie

pełnem grubego żwiru, w cieniu gałęzi i bujnych traw, z hukiem i gwałtem pieni się Biała Wisła.

Czarne i białe ramię, dwa potoki, spadają z wyniosłości, aby, złączywszy się, toczyć zakolem — zakolem, w głębokich parowach, wśród gór i lasów, wspólne wiślańskie fale.

Niezliczone dzikie strumienie, jak włókna i nici, oplotły i przepoiły rozległy Śląska kraj, ażeby jego wodne zasoby Wiśle darować.

Sidła i wężowiska ich sięgają do źródeł Olszy i Ostrawicy, w Odrze tonących, podobnie jak szlak graniczny naszej mowy, chwiejąc się i zaplatając od przemocy, tonie w obcym zalewie.

Szumne, przezroczyste, zielone i fioletowe strumienie południa wielkich Tatr, które nałęczą cudną opasał i wchłania w siebie Poprad pienisty, obfitowody, wierny szlak Spisza, — w Wiśle ujście znajdują.

Leśny San darowuje północy to, coby Dniestr na południe wyniósł.

Błękitny, unicki Bug, bystra podlaska Narew podbierają skarb wodny górnej Prypeci.

Ssące włókna Wisły sięgają do wód Odry, do wód Dniestru, do wód Dniepru i do wód Niemna.

Jedne z nich, jako całkowite rzeki, wytryskują z wapieniów Pienin, ze wzgórz krakow-

skich, — inne sączą się ze żwirowisk i wywierzysk, rozmywających zbocza płaskowzgórz i pagórków, albo przeczystemi baniami nieprzerwanie pulsują kędyś w równinie barwistej łąki, ażeby później toczyć się przez nią niedostrzegalnym ponikiem w nakryciu liści wiklów i kaliny, w łożysku wysłanem niezapominajkami.

Z nizinnych błot, z rudawic, płytkich jezior i stawisk ciągną ze wszech stron ku Wiśle wody ociężałe, osnute rzęsą porostów, w miękkości jedwabistych moczarów, wśród tataraku i trzciny, w cieniu wierzb i olch pochyłych.

Bujają nad niemi błękitne ważki, wielobarwne motyle i słupy komarów; najżywszą melodyę życia wydzwania chyże skrzydło dzikiej kaczki; w wysokości obłoków zanosi się dudnienie lotu bekasa; przerzyna jasne powietrze pokrzyk czajki, a po chwiejnych trzcinach unoszą się z miejsca na miejsce stada szpaków gwarliwych.

Wszystkie wody wiślańskie, — przaśne i słodkie, zaprawne wyssaną z głębin ziemi solą lub siarką, żelazem lub przeróżnemi szczaw odmianami, spływają od wielkich gór, co zostały za niemi w oddali, jak gdyby obłoki znieruchomiałe, błękitne i liliowe, z różanego powietrza utworzone o poranku, a o zachodzie szkarłatne, — po jednoskłonie północnym w zamglone polskie równiny

Wyszedłszy z lasów i z pomiędzy gór, skręca się Wisła na wschód wielkim łukiem, wije wśród pagórków, uroczych skał z wapienia i pól krakowskich, dążąc w swój żłób pozadunajcowy, trzy razy szerszy, niżby wymagała obfitość jej wodnego zasobu, — leżący w piaszczystych wybrzeżach, między pszennemi glinami sandomierskiej i lubelskiej ziemi.

Wymija przedtem skałę Wawelu, którego początek nieznany jest i tajemny, jako tej rzeki początek, — gniazdo mocy i sławy, — gruz władzy przed wiekami wygasłej, — ślad wielkości, niby piszczele szkieletu, świadczące o życiu, które niegdyś je odziewało.

Opuściwszy prawiślisko lubelskie, po rozdarciu przed laty nieprzejrzanemi kredowego kazimierskiego progu, płynie ku mazowszańskim polom między wzgórzami Janowca i Puław.

Wznoszą się nad jej wartem wzorzyste dąbrowy, zaścielające płaskowzgórza i zbocza, wygrzane w słońcu, koralowe od berberysu, pachnące jałowcem i macierzanką.

Tarniny i dzikie róże zwieszają się tam nad ścianami białych wąwozów, w których głębi dwukolejowe, wąskie drożyny chyłkiem zdążają do widnych, białych mieszkań wspaniałego ludu.

Sady, rumiane od jabłek i rdzawe od

śliwek, splatają jakoby wieniec nieskończony wzdłuż siół.

Stoją tam nad wiślaną wstęgą olbrzymie czartoryskie topole i wielkie Puław drzewa, które miały to szczęście, iż pod ich cieniem wszystka się ojczyzna chroniła w złe swe godziny.

Szeroko rozlała się Wisła, wyminąwszy trupie mury tyrańskiej twierdzy Dęblina, wpoprzek wielomilowych piaszczystych przestworów, w których jednostajnej, mglistej głuszy, śpią zagrzebane pod działkami ziemniaków i owsa, lichego żyta i tatarki, — maciejowickie i wawerskie, raszyńskie i grochowskie pola.

Rozciągają się nad jej połyskliwą falą wilgotne łęgi, bogatym rok rocznie utłuszczane namułem i same się białą koniczyną zasiewające, a wielkie białodrzewy i grube pnie wierzbowe, zielonemi koronami prętów wciąż na nowo młodocianych zawsze ozdobne, ciągną szeregiem lub kępami wzdłuż jej strumieni i pętlic, gdy, stare poruszając szlaki, szuka sobie przejść nowych między łachami piasków, stokroć przesypanych z miejsca na miejsce.

Pieni się gościniec główny wielkiej rzeki w wiązadłach mostów z kamienia i żelaza u stóp miasta Warszawy,—cytadeli ziemskiego okręgu,— stolicy wolności świata, gdzie przez stulecie tkwiło

kowadło, wbite w ziemię głęboko młotami kowali, wprawnych w sztuce ciemięstwa, na którem nieubłagana a niewidzialna zemsta losu kuła zarazem kajdany dla ludów uciemiężonych i idej, zakutych w dyby, — mrowisko prac zawsze spiskowych, gdzie się ukrywał, wił i prężył olbrzymi zamysł wysiłku wielkiego plemienia, sztuką, w chwili nieszczęśliwej, w żelazne potrzaski schwytany.

Długiemi smugami, wolnymi zakręty i liczna odnóg siecią, wśród bezpłodnych haków, kęp okrytych chróstem i ostrowów, zdawna zarosłych dębem i topolą, a w głębokiem rozsianych korycie, odchodzi w dal połyskliwe zwierciadło wodne, ażeby opłynąć Modlin, trzecią pieczęć niewoli, przemocą tyrańską wyciśniętą na ziemi polskiej.

Przeglądają się w głębinie Wisły stare miasta o sławie zagasłej i Toruń wieczyście sławny, gdyż w jego murach stała kolebka genialnego dziecięcia Polski, odkrywcy, co powziął najprzenikliwszą, najsubtelniejszą i najśmielszą myśl o wszechświecie i ciał niebieskich obrocie.

Dalej, ujęta w tamy, przy brzegach wklęsłych zaopatrzona w ochronne nasypy, przy wypukłych w groble poprzeczne, wtłoczona w łożysko rok rocznie prostowane i pogłębiane, żywi Wisła po-

słusznie siedm portów handlowych i płynie równo a cicho.

Między Gniewem i Tczewem jednolita jej masa rozdziela się na trzy ramiona. Jedno z nich, Nogat, niegdyś samoistna w Żuławach struga, a od szesnastego stulecia pierwszorzędne wielkiej rzeki ramię, — odchodzi w złowrogi cień Malborga i w dalekie, zimne morze.

Dwa inne rzną nawskroś urodzajne namuły, z polskich wydarte i uniesione gleb.

Wisła Śmiała, przedarłszy w połowie dziewiętnastego stulecia podczas wielkiego zatoru wydmy piaszczyste, wlewa się mnóstwem ujść w najgłębszą zatokę Bałtyku, mieszając słodkie polskie wody ze słonym nurtem, głębią morza idącym z oceanu.

Złote wiślane smugi niosą się daleko w zielonawy przestwór morza, w błękitnawy jego widnokrąg, co z niebiosami nieskończonemi się spaja.

W niebiosa znowu, tam, skąd przyszła, odchodzi Wisła.

A nim zaginie w niedocieczonej morza tajemnicy, wykreśla kierunek westchnieniu polskiemu, tęsknej źrenicy pokazuje cel, wspomina szlak zaginiony, zapomniany, wzgardzony, jakoby ślad brózdy pośród morskiego odmętu wyoranej przez sztukę Jana z Kolna, najdzielniejszego

żeglarza Bałtyku i najśmielszego syna Polski, co w piętnastem stuleciu na ubogim statku waregskim pierwszy z ludzi europejskich na gruncie Ameryki stopę postawił, opłynął wybrzeża Labradoru i odkrył cieśninę Anjanu.

II

Niegdyś, w otchłani czasów, w prawiekach, po odejściu na północ skandynawskich lodowców, z obszarów leśnych i przez leśne obszary samowładnie i samowolnie toczyć się poczęły wiślane fale.

Któż wie, jaki człowiek, przychodzień z suchych zachodu stron w krainy uwolnione od lodów, pierwszy ją ujrzał lasy dzielącą, — brał w posiadanie oczyma mętne i dzikie jej piany, nazywał swoją w mowie i pieśni, — kto pierwszy brodził po jej wybrzeżu i w czółnie z drzewnej kory przeprawiał się na jej brzeg drugi?

Kości jego potomków śpią dotąd wzdłuż rozległej doliny, po słonecznych pagórkach krakowskiej, sandomierskiej i lubelskiej ziemi, pod piaszczystemi wzgórzami Mazowsza i w nizinach dolnego biegu, złożone w skrzyniach kamiennych, nakrytych płasko łupanym głazem, stopami na wschód słońca zwrócone.

Broń i narzędzie z gładzonego krzemienia, głębokie, kuliste, lub wysmukłe naczynie z gliny,

w którem żal i trwoga potomnych przy wezgłowiu zmarłego stawiała bogu niewiadomemu obiatę, na zawsze zostały w tych ziemiach.

Czarne ślady okrągłych popielisk, przesiąkłe krwią, resztkami pożywienia, nawozem i okruchem naczynia, pełne kości zwierząt, węgla i popiołu, wielkie i głębokie donice tłustego iłu w jasnożółtej, zwiewnej glinie lubelskiej osadzone, znaczą ślad domostw prawiecznego sioła.

Garbata jabłoń i rozłożysta czereśnia dzisiejszego sioła obfity wydaje owoc, nie będąc w stanie przez wieków tyle wyssać soków żywota z popieliska naddziadów.

Gliniane zaś naczynie mieszkańca dzisiejszego sioła uboższe jest i brzydsze, niż owo, spoczywające w ziemi od siedmiu tysięcy lat.

Tają się w łonie tych ziem wielkie cmentarze, pełne naczynia z bronzu, — i późniejsze, — z żelaza, pełne mis i urn, świadcząc o kulcie innym i nowym obyczaju.

Stoją wzdłuż szlaku małopolskiej Wisły wyniosłe kopce, mogiły-grodziska, strome podwaliny drewnianych zamków, warstwami szkliwa, jak zbroją, z wierzchu nakryte.

Baśń lotna i zwiewna, jak nadrzeczna mgła, a nigdy nie wyczerpana i niezmienna, jako jej wody, jedna jedyna dobrze wie i pamięta o ry-

cerzach, co na te szklane góry wdzierali się z miłości, lub nienawiści, walczyli i konali.

W gałęziach Wisły, wśród sieci jej bujnych, górskich ruczajów, odwiecznego traktu, łączącego ciepłe morza południa z chłodnem morzem Bałtyku, ponad brzegami Bugu, łączącego zachód z Wołyniem i Dniepru źródłami, na północnej Tatr i Karpat pochylni, między szerokiem wielkiej rzeki łożyskiem i nieprzebytemi Polesia błotami, leżała dziedzina, która była gniazdem słowiańskiego plemienia i słowiańskiej mowy.

Tutaj się wykołysało leśne pradziadowisko Słowian rodu, skąd szczepy jego wyszły na wschód i południe, na zachód i nad morze.

Kopce, pełne szkieletów, świadczą o najściu i podbiciu Gotów, dokonanym na tej ludności prastarej.

Inna, niż ongi, przemyślnym, greckim i rzymskim kształtem kuta broń lub ozdoba kobieca, mówią o wędrówkach kupców z radosnych krajów południa poprzez puszcze i wąwozy gór, wzdłuż wiślanego rozdołu i grodów Krakowa, oraz Kalisza.

Pieczara pustelnicza świętego Świerada przy ujściu bujnych Dunajca wód, schronienie niewygasłą otoczone klechdą, gdzie w zaraniu jedenastego stulecia przebywał ów człowieczy cud

apostoł słowiański, wyrosły z pośród owoczesnego chłopstwa polskiego, «jako róża z pośród cierni», anachoreta, który przez trzy dni tygodnia nic nie jadł, a na post wielki, idąc w głębszą puszczę, brał ze sobą na czterdzieści dni czterdzieści orzechów, — w ciągu dnia modlił się, lub brał siekierę i rąbał lasy dookoła pustelni, — zamiast łoża miał pień, płotem z ostrej trzciny otoczony, aby go kłuła, gdyby się we śnie na bok przechylał, — na głowę zasie kładł koronę drewnianą, obwieszoną głazami, aby go biły po czaszce, gdyby znużona przechylała się w którąbądź stronę.

Gruzy Tyńca zadumane, prastare, a na stokroć starszych wzniesione popiołach, dla dzisiejszych ludzi niepojęte gruzy, co się stały tak niezłomnemi, iż czas, nędza i zapomnienie już ich bardziej zniweczyć nie mogą.

Dziurami okien, jak ślepe oczy, patrzą w nurt żywej wody, co u stóp skały białej wieczystą swą toczy beztroskę, przynosi zdala i unosi w siną krainę niewyczerpane swoje wesele, — i patrzą w otchłań zamarłych czasów, niedocieczoną dla nikogo ona ziemi, w zdarzenia, z których pozostał taki jedynie ślad, jak ślad jastrzębia, który w powietrzu przepłynął, śniady na ziemię rzucił cień rozpostartych skrzydeł, i odleciał, — powieść o wiarołomnym władcy, o książęciu we Wiślech...

Przed secinami lat sadzone drzewa i winny szczep na słonecznych Sandomierza pagórkach, w miejscach, gdzie dzisiejsza bieda i dzisiejsza ciemnota rozpościera panowanie wokół romańskiego piękna świętego Jakóba.

Wiślica, Kazimierz — murowane legendy o wielkim niegdyś wśród nas marzycielu, o mocnym władcy, o potężnym rozumie i niezłomnej woli.

Wały, ściskające Wisły koryto, z rozkazu wiecznotrwałego króla sypane, początek pracy, do której potomność nie dołożyła prawie nic.

Naprost Solca kościołek Piotrawina z kamieniem po prawej stronie ołtarza, niemożliwym do odczytania, niemy, tajemniczy świadek zatargu śmiałej potęgi z piastowego wyrosłej łona z niszczącą zewnętrzną mocą...

Wzdłuż zakrętów i poszarpanych Wisły osypisk, które odsłaniają tysiącletnie dzieje przemian tej gleby, na przestrzeni stu pięćdziesięciu mil usiadły wsie niezliczone.

Wciąż kwietniowe swe suknie wdziewają ich sady, wciąż stada ptactwu rzucają je pod jesień i wracają na te same drzewa, pola i łąki pod wiosnę, wciąż nowe szemranie liści, budzące radość i miłość, młodociane wita pokolenia.

Nieprzeliczone pokłady zwłok i kości naddziadów przesycają niestrudzenie gliny i piaski

żywią wielowieczne lipy i brzozy, otulające pradawne mury, skarby i wieże kościołów.

Gdy śniegi, spalone na wielkogórach, marcowym halnym wiatrem ruszają z posady zlepy szkliwa igieł lodowych, szrony podwodne, progi lodowe, przywierające do iłów dennych i grubą skorupą okuwające kamienie, — nabrzmiewają od wirów spienionych szumne skalne potoki i podgórskie ruczaje.

Z pędem ciec poczyna «krakowska» kra głównem rzeki korytem, wypełnionem po brzegi.

Lody, okrywające szerokie Wisły rozlewisko, kruszeją i pękają.

Pędzące wody coraz wyżej wynoszą na sobie zmurszałą skorupę lodową, podbitą tłoką rozmokłej śnieżycy, aż wszystka zrywa się z miejsca do biegu.

Słychać wówczas trzask i szum tafli, które druzgocą się wzajem, widać wywracanie się ich wspak i na nice, zanurzanie jednych przez drugie, gonitwy i walki płyt, wegnanych przez wart pędzący na miejsca płytkie, gdzie tworzą zwały i pokłady rozległe.

Masa wód wyrzuca się z brzegów i zalewa niziny.

Powtóre, gdy jasne słońce i ciepłe dżdże napełnią mleczem kłosy pszeniczne, żytnie i jęcz-

mienne, ledwie z szypułek wychodzące, gdy wielobarwną rozkoszą oczu okryją się bezgranicza łęgów nad Wieprzem, nad Narwią i Bugiem, gdy wonią bzów i kwiatów napełni się powietrze, a czarująca słowicza pieśń w jasną noc księżycową przerzuca dźwięki z olszyn do olszyn i z brzegu na brzeg wiślany, — wznoszą się znowu i szaleją bujnie świętojańskie wody.

Zwarte lasanki czereśni pod Janowcem, rubinowe od owocu, stoją w nurtach zmąconych, przez parki starych pałaców i przez wyhodowane ogrody dworów płyną szumne popławy, na pniach i gałęziach wieszają się pokosy zmulonego siana i kępy wyrwane zbóż.

Wielkiemi, płaskiemi taflami osuwa się i wjeżdża w pędzący odmęt namuł tysiącletni, najurodzajniejszy, w oczach na pianiste mleko się rozpuszcza i ginie w toni, ażeby ułożyć się kędyś daleko, jako hak jałowy, łacha bezpłodna, której nagość ledwie przesłania chwiejna wiklina.

Zapadł się w Wisłę i zginął w niej wysoki przedmostowy szaniec Sokolnickiego w Ostrówku, aż do głębi rowów swoich i wałów przepojony bezcenną polską krwią i wieczną sławą.

Popłynął z wodą.

Ucieka coraz wyżej z urodzajnego wądołu wioska za wioską na jałowe wydmy Mazowsza.

Drzewa, obciążone nadmiarem śliw, grusz i jabłek, rozdziera i unosi bystra woda.

Można widzieć, jak mrowie ludzkie, przez trwogę z setki nizinnych siół przygnane w ostatnim terminie podnoszenia się fal, buduje samoswoją tamę lewego brzegu, ostatkiem sił zwozi, znosi i sypie piasek i żwir, zasłaniając rodzime niziny.

I można widzieć, jak rybak beztroskliwy, siedząc we widłach głowicy wierzby rosochatej, łapie podrywką okonie i płocie, pluskające się żwawo w łanie przebogatej, dorodnej pszenicy, po bujne, a ledwie rozwinięte kłosy zalanej zmulonemi mętami.

Skoro sroga górska zima zapełniać pocznie strumienie zielonawemi igłami lodu, okryje głazy i żwiry ich dna seledynowym kożuchem szkliwa, a fale przepełni miazgą kryształów śryzu, wkrótce i na dnie wielkiej rzeki tworzy się masa lodowa kilkustopowej grubości, przyrastająca do brył iłu dennego, okuwająca podwodne kamienie i pnie gnijącej prądowiny.

Gdy zaś i niziny obejmie ostry polski mróz i zewnętrzne zwierciadło rzeki ścina się w skorupę, podwodne sowy lodowe wstają z dna, dźwigając w szponach swych ciężkie nieraz kamienie, które w sobie zamknęły, łączą się z lodem powierzchni i zmarzają w jednę warstwę niezłomną.

Wówczas staje Wisła na przeciąg siedmdziesięciu pięciu dni.

Lis sandomierski bezkarnie przebywa granicę, dzielącą Kongresówkę od Galicyi, nawet zając trwożliwy staje się natrętnym cudzoziemcem i bezczelnie wkracza w Poznańskie, a srogi wiatr nocny te same przez stulecia polskie zaspy przerzuca tam i sam, zanosząc słupy graniczne i zamazując na nich rozmaite, obcojęzyczne napisy.

Lecz gdy w południowych, krakowskich stronach przygrzewać pocznie dłużej słońce bardziej radosne, a na północnej, zimnej połaci Wisły wciąż jeszcze stoją lody grube, w powyginanem jej korycie nowa się wszczyna burza.

Samowładnie wężowaty kierunek brzegów i swawola samicy głównego wartu, mnóstwo martwych odnóg, płytkich, stojących jeziorzysk, poprzegradzanych łachami, wciąż na nowo tworzące się drogi wodne i strumienie, niezmierna nierówność dna, gdzie obok mielizn czyhają studnie i jamy bezdenne, wywiercone przez wiry, sprawiają, iż tafle kry, pędzonej nurtem wzburzonym, wepchnięte pod nakrywę lodową, napierane jedne przez drugie, zaorują się w muły i piachy, wgniatają na się i szybko tworzą wielki poprzeczny wał, zatamowujący odpływ niewyczerpanego potoku wód.

Góra lodowa rośnie wszerz i na wysokość a sięga nieraz na kilkanaście wiorst w głąb rzeki.

Wielkim wybuchem rzuca się zastawiona Wisła poza swe szerokie łożysko, zrywa brzegi, wlewa na niziny z dzikim pędem, zasypując je piaskiem i zanosząc mułem.

Mnóstwo siedzib ludzkich staje pod wodą

Ucieka wieśniak na dach domostwa, — belki stodół i zabudowań, sterty zboża i stogi siana płyną wśród kry, tańczącej na fali.

Spustoszenie i niedola zalega wielkie przestwory.

Hula i bawi się Wisła, jak przed tysiącami lat, jak wówczas, gdy pierwszy przychodzień z suchych zachodu stron ujrzał ją, lasy dzielącą...

Dopiero na równinie poznańskiej ustaje Wisły szaleństwo.

Od trzynastego wieku ujmowana w tamy, płynie uspokojona wpoprzek tej ziemi spokoju, ziemi milczenia i ziemi pracy.

W tamecznym jej nurcie kryje się zasób niezmierzonej siły, tak samo niewidzialny, jak niewidzialną jest potęga ukryta w łonie poznańskiego odłamu naszego rodu.

Równe i niepowabne stały się tam jej bujne i pięknie bezładne wybrzeża, jak równa i nisko

ku ziemi nachylona jest myśl i praca tamecznych ludzi.

Trzysta kilkadziesiąt parowych pomp i wiatraków pracuje nad regulowaniem szumnych wód, nad pogłębianiem dna i usuwaniem zatorów.

Na setkę kilometrów rozwinął się ku zachodowi brzeg morski od ujścia Wisły, po jezioro łebskie i gardzieńskie, dziedzinę Słowińców nad ujściem Łeby i Łupawy.

Przerzynają ten ląd wartkie strumienie, a w głębi sosnowych lasów błyszczą jasne jeziora.

Wzgórza i łąki szerokie zniżają się ku piaszczystemu wybrzeżu, gdzie szaleją straszliwe jesienne wichury nadmorskie i huczą śnieżne burze.

Na piaszczystych wydmach helskiego międzymorza stoją chaty ze słomianą strzechą, mieszkanie ludu rybackiego, który naszą mówi mową i naszą śpiewa pieśń.

Opuściła go Rzeczpospolita i opuścili go panowie.

Na tem morskiem pustkowiu został sam jeden, został tam, gdzie były jego praszczury.

Odwala pługiem wilgotne skiby ziemi i słucha świstu wichru, w którym ongi ponad Pucka zatoką trzepał się znak: — ręka po ramię, trzymająca miecz, lub orzeł biały w czerwonem polu.

Patrzy sam jeden w te sine, dalekie wody,

po których pływały okręty w Gdańsku Sobiesławowiczów zbijane, flota gardziny Krzywoustego w dwunastym wieku, idąca na wyprawę wojenną do Danji, statki Zygmunta Augusta i Władysława Czwartego, wypuszczane z fortecy w Pucku.

Kiedy w te niziny zstąpili ludzie polskiego szczepu, wie tylko pieśń, gadka ludowa, którą usłyszał był i zapisał w zaraniu dwunastego stulecia wielki nasz pisarz narodowy, zwany Gallusem, Sallustiusz państwowej Bolesławów potęgi.

«Inni niegdyś nam słoną rybą truli zdrowie,
Na cuchnących swych wozach dowożąc ją zgrają,
Teraz po nią na miejsce trafiają synowie
I w znak życia skaczące u stóp ryby drgają.

Gdy ojców mniej pohopnych hamowały grody,
Synów morskie spiętrzone nie zastraszą wody,
Za jeleniem lub dzikiem w trop chodziły sfory,
Ci polują na skarby z morza i potwory».

III

Wielki przestwór, blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych, leżący w niżowym Europy lądzie, zajmuje Wisły dorzecze.

Ponad brzegami jej dopływów ciągną się ziemie tłuste, — proszowskie i kujawskie, urodzajne, — lubelskie i sandomierskie, ziemie chude, — kieleckie i radomskie, płone, — mazowieckie i piotrkowskie, leżą błota i wydmy piasków bezpłodnych.

Ponad brzegami jej dopływów orze i sieje, kosi i żnie jeden jedyny lud.

Nad niemym głosem jej strumieni rozbrzmiewa żywy gwar mowy tej samej przez tysiąc lat, tej samej ponad głównym ich nurtem i nad wszystkiemi źródłami, tej samej w górach Śląska, w skałach Tatr, nad ssącemi włóknami, które sięgają do źródeł Odry, Dniepru i Niemna, tej samej w dolinach i na płaszczyznach, tej samej nad Nogatem i nad Wisłą Śmiałą — i ponad morzem.

Bo i tam, daleko w morzu, o cztery wiorsty od paszczy głównego ujścia, gdzie wynurzają się

wciąż nowe wyspy, z naszych przyniesione małopolskich, mazowieckich i wielkopolskich brzegów, do których to wysp zawijają okręty, — wzdłuż martwych łożysk w piaszczystych mieliznach i nowych bystrzyn, wyoranych w ziemi, ten, kto splata faszyny, kto przerzuca namuł, tapla się w błocie i tworzy groble urodzajnej Żuław krainy, kto najcięższe, najbardziej nieudźwignione z miejsca na miejsce przenosi, — naszą mówi mową.

Świadectwa i pomniki pracy tego ludu leżą przed oczyma świata, stoją rozsypane, jak długa i szeroka ta ziemia.

Naród polski nie prowadził nigdy wojen zaborczych.

Zasłaniał w ciągu wielu stuleci wolność i dobro Europy od barbarzyńców nawały.

Jeżeli szedł na wschód, to nie po dobro cudze, lecz po to, żeby ziemie niczyje, dzikie pola, w pustynie zamieniane raz wraz przez tatarskie zagony, wciąż na nowo zaorywać i zasiewać, uzbrajać w zamki, zakładać miasta i sioła, wznosić kościoły i szkoły.

Językiem cywilizacji na wschodzie był język polski, jak świadczą chociażby dzieje Akademji Kijowsko-Mohilańskiej.

Kształci się dotąd Kijów na księgozbiorach

Porycka i Wilna, a Petersburg na księgozbiorze Załuskich.

Naród polski ma w swym dorobku przywilej: «Neminem nobilem captivabimus», który o dwa stulecia wyprzedziła jedynie wielkiej Anglji «Magna Charta». Dopiero po upływie dwustu lat od daty polskiego przywileju Anglja posiadła «Habeas corpus».

Litwa przez unię horodelską dobrowolnie przyłączyła się do Polski.

Stany pruskie wypowiedziały posłuszeństwo Krzyżakom i szukały łączności z narodem polskim.

Inflanty uczyniły to samo.

W wieku szesnastym, gdy ludy zamierały w systemach absolutyzmu, Polska każdego monarchę, wstępującego na tron, zobowiązywała do przysięgi, iż przestrzegać będzie praw narodu.

Polska uznawała wszystkie wyznania za równouprawnione, otwierała swe granice i gościnny dom dla zbiegów z całego świata, gdy w Europie płonęły stosy herezyarchów i wyznawców wolności sumienia.

W jej to miastach, dzisiaj zbiedniałych i zapomnianych, w wiejskich domostwach, otoczonych niewygasłą legendą, w świątyniach, których ruiny jeszcze bieleją tam i sam w lasach i na pagór-

kach, wyhodowały się kulty religijne, zachwycające po dziś dzień duszę nowoczesnego człowieka swą szlachetnością głęboką i nieskalanem dotrzymaniem słowa głoszonej prawdzie, zaświadczonem pięknem żywota wyznawców.

Polska była ogrójcem, gdzie wykwitły najbardziej czyste kwiaty miłości ojczyzny, najżywsza żądza pracy dla bliźnich, dla dalekiej przyszłości, dla szczęścia potomnych, dla wszechdzieci plemienia nienarodzonych jeszcze, pracy tak bezinteresownej i ofiarnej, iż stałą i niewątpliwą za nią nagrodą było więzienie, wygnanie i niepłakana, samotna śmierć.

Naród polski ma w swej przeszłości szarże najbardziej zdumiewające, szalone a owocne: pod Kircholmem, pod Kłuszynem, pod Wiedniem, pod Somo-Sierrą, pod Dębem Wielkiem.

W swym przyczajonym ogromie dzisiejszym ma on najgłębszą ze wszystkich narodów świata tęsknotę do wielkiej szarży swego ducha.

Nie pragnie on i nie pożąda niczyjej roli ani domu, ani siły, ani szczęścia, ani sławy.

Pragnie tylko pracy na swojej własnej roli, szczęścia w swym własnym domu, rozwinięcia swej własnej siły i czci dla swojej sławy.

Wyspana i wypoczęta jego moc skupia się teraz i zrasta w jedną jedyną energję wysiłku,

którą był w swym lochu nadwiślańskim wysiedział, wyczekał, wytworzył niestrudzonemi myślami, wymarzył i wyjaśnił na bezczynność skazany Walgierz Udały.

Jakież słowo zdoła wyrazić dzieje zakucia w dyby żywego narodu, dzieje klęski rozszarpania żywej, jednej mowy i obyczaju i dzieje stu kilkudziesięciu lat istnienia w niewoli?

Jak rzeka Wisły, był polski lud czyjś i niczyj, nieswój, bezpański, bezużyteczny.

Nie tworzyły mu ongi prawa narodziny króla, lecz gdy dla ratowania swego bytu takie prawo, na wzór innych, na swe barki dobrowolnie chciał włożyć, usiłowano go unicestwić i zniweczyć w samej istocie bytowania na ziemi.

Lecz on wtedy stuletnie swe życie w przedziwny, jedyny na ziemi sposób stworzył dla siebie.

W jamie czasu, ciemnej i długiej, jak więzienny loch, ciągnął i stwierdzał swe stuletnie bezkrólewie z ducha, rozpleniał i zasilał swą jedyną na ziemi, tajną, trójjedyną, zawsze tę samą Rzeczpospolitą.

Wgryzała się w jego ręce i nogi rdza łańcuchów, gniło tam i sam ciało i wyginały się kości, biły weń młoty i kusiło go odstępstwo, — sypała piasek w oczy straszliwa ohyda niesławy i nieskończona długość cierpienia.

Stało się w istocie, iż odszczepy narodu, jak dawno przepowiedział w chwili jasnowidzenia prorok nieulękły — «w obcy się naród, który nas nienawidzi, obróciły».

Bo oto, — niema stu lat, — jak stwierdza w «Uwagach» swych Hugo Kołłątaj, dostrzegacz pilny i świadek żarliwy, we wszystkich świątyniach miasta Wrocławia wygłaszano kazania jednej niedzieli po polsku, drugiej po niemiecku, — a na zachód od tego miasta, daleko, bo aż po kraj łużycki, można było rozmówić się z wiejską ludnością łamanym polskim językiem.

Gdyby się tam dziś znalazł w pustyni, otaczającej grobowce książąt piastowskich, w obrębie katedry biskupstwa, które jedno z trzech w swojem polskiem królestwie fundował król Krzywousty, — jakżeby przeszedł przez to miasto ze swem sercem płonącem, wśród «obcego narodu, który nas nienawidzi»?

Lecz wielkie dzieło budowniczych i pracowników istoty, zakresu, bezgranicza bytu narodu polskiego: — Chrobrego, Krzywoustego, Śmiałego, Kazimierza, Stefana, Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Kościuszki, Mickiewicza, — po tylu zamachach, ciosach i klęskach stoi niepokonane, rozrośnięte i młode na nowo.

Wiedza i praca poznańska, jak hak dźwi-

gający, czeka na chwilę, ażeby zarzucić się na ogniwa wielkiego królewiackiego łańcucha.

Miłość i entuzjazm, dwa ziarna cudowne, wyhodowane w moskiewskiej niewoli, czekają na chwilę siewu w wyhodowane, lecz bezduszne skiby Galicyi.

Tęsknią do siebie te same cnoty kresowe: — śląskie i polsko-litewskie.

Czekają jałowe wydmy, błota i ugory, martwe pagóry i wyboiste drogi, puste szkoły i nędzne chałupy na wiedzę, doświadczenie i energję emigrantów.

O Wisło, Wisło!

Żywa pieśni lądu polskiego, nigdy nieprzerwana wieści o tem, co się dokonało za dni, które leżą w zamierzchłej dali czasów, — i wieczny pozwie ku przyszłości bez końca!

Podniosło się nad wszystkiemi twemi wodami, gdziekolwiek brzmi polska mowa, jedno westchnienie i wpoprzek rozdzielonych krain, jako żywiący wiatr, przepływa.

Przed tysiącami lat złożył szczęśliwy los u wezgłowia Wisły, tam, gdzie się jej spławność zaczyna w Śląsko-Krakowskiem Zagłębiu skarby węgla, których przez pół tysiąca lat nie wyczerpie najbardziej wytężona i najbardziej obfita praca całego plemienia.

Pożąda pracy polski lud!

Jego pot przez tysiąc lat przepoił powierzchnię ziemi i przesiąkł aż do skarbu w głębinie.

Polskiego ludu to skarb.

Węgiel, sól, nafta.

Ujmie nareszcie brzegi wiślane plemię w jedno zrośnięte.

Obwałuje je wreszcie niezłomnemi tamami, zabezpieczy na zawsze złotodajne niziny, wielkiemi pracami wymiecie nierówności dna, rozległe mielizny, brózdy i wzgórza, fałdy i jamy ze stromemi ścianami, studnie kilkusążniowej głębiny, wywiercone przez nagłe wiry.

Powiększy i unormuje głębokość żeglowną, ułatwi ruch lodów.

Zaginie w Wiśle odwieczna, bezpłodna łacha i odwieczny, rokroczny zator, — czterokrotna co roku powódź, samopas i niewolniczo, niszczycielsko i obłędnie chodząca masa wód.

Podjęte znowu zostanie dzieło Wielkiego Kazimierza.

Ugną się swawolne nurty pod setkami tysięcy szkut i komięg, bez przerwy, dzień i noc, darmo i szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska.

Przyszłe życie Polski otrzyma za cenę pracy

plemienia dwie potęgi: bezmiar węgla, dostawiany do miast i wsi przez rzekę, posłusznie pracującą w ciągu stuleci.

Rozrosną się od tysięcy fabryk stare grody:— Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk.

Nienastarczona a niewyczerpana masa węglowa narzuci pracę pokoleniom, wyżywi i zbogaci prowincje.

Stanie Warszawa na linji skrzyżowania kolei z Londynu do Kalkuty, z Paryża do Władywostoku, z Gdańska do Tryestu.

W obrębie miasta, w jego łonie olbrzymiem leżeć będzie czcigodne pole wolskie i czcigodne pole grochowskie, — cytadela, szkoła marzeń o Polsce wolnej, i Wilanów, pamiątka po wodzu, który uczył wspierać po polsku sąsiada w niedoli.

U bram miasta znajdzie się czcigodne pole wawerskie.

Na placu Saskim, tam, gdzie Wilczek i Ślaski rzucali w twarz tyranowi moskiewskiemu najprawowitsze i najszlachetniejsze wyzwanie na pojedynek, przeszywając swe nieulękłe serca rycerskie szpadami w obronie honoru swego i narodu, — wolny lud strąci dzwonnicę, która Polsce wieczną niewolę wydzwaniać miała, i zetnie złote kopuły

cerkwi, które jej w oczy wieczną sromotą przyświecać miały.

Kadłub cerkiewny, dzieło artyzmu, zdobiony cennemi Waszniecowa freskami, zostać powinien gdyż nie popełnia Polak barbarzyństwa.

Na znak skwitowania i wyrównania rachunków ten kadłub zawrze w sobie cywilny skarbiec narodu.

Tam, pod strażą żołnierską, a na oczach pokoleń, spocząć powinien szczerbiec Chrobrego i korona, odebrana z Petersburga, serce Kościuszki przeniesione z Rapperswilu, buława Czarnieckiego, którą pod Łowiczem w roku 1806 Jan Henryk Dąbrowski otrzymał, sztandary z pod Byczyny, z pod Wiednia, z pod Racławic, z pod Raszyna, z pod Stoczka, z pod Małogoszcza, — rękawica Żółkiewskiego, szable wodzów i postronki, na których zawisł Traugutt z towarzyszami.

MIĘDZYMORZE

Drużynie harcerskiej męskiej
imienia Adama Żeromskiego
w Sejnach
swe — «Czuwaj!» —
z głębi serca przesyła
autor.

« ... Grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze i z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa...»

ADAM MICKIEWICZ

Zachwyciła się fijołkowa chmurka pięknością rogatego księżyca na godzinę przed wschodem.

Rozpostarła się, ni to uwielbienie bezsilne przed srebrnym majestatem, w dole jego połyskliwej bryły.

Nie może odpłynąć na wschód, nie może się na zachód odczołgać.

Dalekie niebo przybrało kolor pomarańczy, dojrzewającej w ogrodach wschodu.

Jak owoc dojrzewający nasyca się blaskiem słońca, które zmierza w te strony.

W głębinie jasnej nocy spoczywa w blasku miesięcznym nieruchomy bór sosnowy.

A bór utkany jest z koron tak bujnych, jakby żywiące go pnie nie z bezdennych wyrastały piasków, lecz z tłustego iłu Nałęczowa.

Ani jedna gałązka, ani jedna witka, ani jedna igła nie porusza się, nie wzdryga, nie powiewa.

Zamilkł teraz czujny kogut, tak tęskniący za słońcem wśród ptasiego rodu, jak słonecznik i heljotrop wśród roślin.

Gołąb nakrył żółtą źrenicę błoną powieki i przytulił śniade łono do łona gołębicy.

Łagodnie i niepostrzeżenie wygina się połud-

niowy brzeg półwyspu, przybierając w oddali kształt głowy i dziobu gołębia.

Od tego dzioba ziemi biegnie w bławe morze szlak ledwie dostrzegalny dla oka.

Tam w dali widnokrąg zagłębia się we mgłę fioletową, a linia granatowa zaznacza, iż to morze bierze rozbrat z firmamentem i wydziela się w mocarstwo swoje od powietrza bez granic.

Jasny pas piasku, pełen bladożółtych odcieni, jak wgięta płaza miecza wielkiego, ściele się na dalekiej przestrzeni.

Na tem otwartem nadmorzu zabiegliwa fala zcicha tej nocy pracowała.

Przynosiła niestrudzenie i raz koło razu półkolistemi naręczami kładąc w przeguby i wiązania, wśród rytmów niezmiennych, miotała webło, czyli kidzenę, czyli morską trawę, którą z głębokich zatargów, z mulistych głębin wyniosła i na ten strąd wydzieliła.

Wielobarwna trawa nikle widnieje na bladem pobrzeżu, jakoby szlak kolorowy na delikatnem ciałeczku morskiej chełbi, czyli barwistej meduzy.

*

Wzniosło się słońce z topielisk, ponad wszelkie słowo piękniejsze, rzucając radość żywota w lądy i w morza.

Poczuły nieznaną nam rozkosz róże w ogrodzie i wydały w spazmach rozkwitu pachnące westchnienie.

Rozrywa się lepka cieśnia ich płatków, gdy po długich deszczach spadła na nie w ten czerwcowy poranek płomienna sfera upału.

Niewidzialny kos, pustelnik, ukryty w zielonych gałęziach sosny, pochyłej od wiatrów zachodu, która dlań puszczą jest macierzystą i ojczyzną, wita słońce uwielbiającym poświstem.

Karmazynowy kwiat begonii dźwiga kielich swój spod piasku, którym go chłoszczące wiatry i nawalne deszcze przybiły.

Wysuwa się z za cienia sosny, istny żebrak z mrocznej kruchty kościoła, stukający swemi kulami, w pośpiechu na łeb na szyję, żeby zobaczyć lśniące koła karety, w której cesarz Indyi w majestacie swym szybko przejeżdża.

Wznioślejszy jest ponad wszelkie słowo uwielbienia ten powrót słońca.

Wieczny jest i niezmienny, zawsze ten sam, a nigdy ani o jednę jotę, ani o jednę kreskę niemniej olśniewający i budzący zdumienie, niż przed nieskończonym czasu oceanem.

Sieje oto obłoki pyłu i zapładnia dziewicze słupki żyta na urodzajnej kępie Oxywia.

Pogania ławice wiosenne śledzi ku wodom napoły słodkim, zasilanym przez Wisłę.

Wyciska lepkie soki z szyszek młodocianych sosny.

Otwiera wysmukłe pąki nadmorskich goździków i wydostaje z nich strzępiaste płateczki, najdelikatniejszemi kreskami różu nikle zabarwione.

Zbudził ze snu żółtego motyla i kazał mu w obłędzie szczęśliwym polatać nad szafirowemi falami morskich przestworów.

*

Gruba chmura, która całunem ogarnęła moją duszę i całunem zasłoniła moje oczy, odwinęła się tego rana.

Dźwignąłem głowę spod całunu i podniosłem oczy na tę stronę ubogą.

Uśmiechnęły się do mnie własnym uśmiechem mej duszy wyżyny, białe zaspy piasczyste, bladą porośnięte wydmuszycą.

Roześmieję się jeszcze ze szczęścia mej młodości, od nadmiaru siły oczu, z przepychu władzy mojej, która niegdyś radośniejsza bywała od słonecznych promieni.

Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mię życie trzyma, — spomiędzy kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy.

Widzę nareszcie ciała ludzkie, z których opadły stroje, szaty, szmaty i gałgany.

Widzę nareszcie ciała ludzkie w najpiękniejszym ich stroju, w spaleniźnie, szacie pełnej powabu.

Zgorzałe od słonecznego pożaru, przejrzane przez słońce nawylot, zabarwiły się na rdzawo, na rudo, na płowo.

Białe, wymokłe ciało miejskie jest tu obmierzłe dla oczu, budzące wstręt, jako ślina.

Płuca tu oddychają powietrzem, do którego nie dosięga brud, kurz, pył i latająca w nich zaraza.

Klatki piersiowe mężczyzn, ich karki, żebra, uda, lędźwie, ręce i nogi pali niestrzymane słońce, jakoby tysiąc lamp kwarcowych.

Kobiety mają tu nie tylko sadło, pokryte białą

skórą i bezwładne kształty, godne pościeli i rozkoszy, lecz silne ścięgna, mięśnie sprężyste i kości, pełne mocy.

Nawet obmierźli, ułomni i szpetni, nabierają tu wdzięku i kształtu.

Starzec siedmdziesięcioletni, wyszedłszy z błękitnej kąpieli, ćwiczy gimnastycznie swe ciało, wyrzuca to ręce, to nogi, zgina wiekowy kręgosłup, czaszką spaloną na czarno połyskuje wokoło, zwyciężając niezwalczoną siwiznę.

Dzieci ciemne, lub rude od słońca i wiatru z południa, jak anioły igrają w blasku, odtrąconym przez falistą powierzchnię.

W bryzgach piany biegając bez przerwy, noszą istną aureolę świetlistą dokoła sprężystych swych ciałek.

Morze wiekuiście ruchliwe podnieca energię ich skoków, prześcigów, poruszeń i tańców, — wiatr wschodni popędza je z miejsca na miejsce, — a światło, migające na falach śmiech nieskończonej radości w nich budzi.

Bawią się z olbrzymim potworem, który szpik ich kości mocą życia nasyca, a ze krwi nasiona zarazy, ziarna śmierci wypędza.

Chwytają go za gardziel drobnemi rączkami, a krople złota i srebra sypią się na wsze strony z ich maleńkich paluszków.

Daleko, daleko w morze, aż ku ławicom podwodnym, na których zachłysta się fala, pływaczka wysunęła się młoda.

Prawe i lewe jej ramię naprzemiany świetli-

stą wodę roztrąca, a głowa o urodzie wspaniałej raz wraz melodyjnie, to w tę, to w tę stronę, jak w tańcu się chyli.

Na podsypiskach, tam, gdzie słońce najognistszym przypieka pożarem, leżą twarzą do blasku ostrego nieruchome kadłuby nasycających się światłem.

Tam, gdzie już ludzi niema, łańcuch zachyleń, ostoi i bugajów wgryza się w podsypiska, a szczodra, od piany czubata fala wodna nieskończenie, wskok się narzuca.

Palce nóg nie wgłębiają się i nie mogą odcisnąć na tem ciemnem boisku, a pięta nie więzgnie w wychłostanej i stwardniałej płaskoci.

Na nieskalanym, przymorskim chodniku piszą wciąż fale smugi dymne i sade.

Po milionkroć muskają i gładzą, a dopasowują w formę doskonałej płaszczyzny piasek już dawno zmielony na mąkę.

Nad głębią strony, czyli nad tą smugą przybrzeżną, skąd podplusk nad strąd wbiega, ciemna lśni barwa.

Za nią ciągną się zielenice, smugi płycizn, pod któremi tkwi rewa i zalegają piaski zdradliwe.

Tam, z wielkich idąc oddaleń, z ciemnych bezkońców, wały morza spotykają przeszkodę, wrą tedy, złoszczą się, pienią.

Gdzieniegdzie na mojej drodze wiązka rudego webła uderza w spojrzenie, kudłata, śliska, ośliniona i osypana bąblami.

Wydarło ją bujne morze mocą swoją i władzą,

ostoję i przytułek igrających dorszów i storni, czy wydarła przemocą denna matnia kręcichy, rybackiego niewodu.

Ani jeden kamyczek nie wynosi się z toni.

Gdzieniegdzie ułamek zczerniałego drzewa, korek, lub szczątek węgla z człowieczego kędyś ogniska czerni się zdala w blasku pobrzeża, jak resztka wstrętnego brudu.

Morze otrząsem wewnętrznej odrazy i womitem zewnętrznym wyrzuciło go z siebie.

Ostra wełna nieustannym zakosem podbija stare piasczyste pokłady, podrzyna niemateryalnym swym cyrklem wypukłe półwyspy i wklęsłe zatoki.

Tu i tam odsłania barwne ostrze, nikłemi zdobione kolory, ubite dawno, uklepane warstwice.

Niestrudzony, jednostajny poszum morski przesącza się wpoprzek ciszy.

Lecz oto zniweczył go i roztrącił szelest pluszczący i świszczący.

Wysmukły, nagi młodzieniec, o budowie efeba, wszystek brązowy, z twarzą, w której tylko białka oczu błyskają, jednostajnemi skokami plażę przebiega.

Kark jego jest prosty, łopatki w tył podane, kędzierzawa głowa zadarta, ręce pod pachami złożone i dłonie zaciśnięte.

Pierzchliwie pryska spod jego bystrych a rozrosłych stóp morskie rozpostarcie na strądach.

Zda się, iż pierzaste skrzydła migają z prawej i z lewej strony u każdej miedzianej jego stopy.

Zda się, iż to skrzydłopięty Hermes z Olim-

pii, ocknął się i przebiega wybrzeżem północnego morza.

Ciemna postać w oczach oddala się, mętnieje, mgłą się zawściąga.

Daleko w błękicie znika.

*

Na przymorskim chodniku, który stanowi wschodnie brzuśce przyrostów półwyspu wciąż linia złotofalista wynika i przygasa.

Niema tam już ludzi.

Nareszcie — niema nikogo.

Bieli się tylko w dalekim błękicie stado mew wiecujących.

Złożone są ich płowe, smużką białą ośnieżone skrzydła i białe głowy widnieją zdala na fali.

Z siodłatej barwy zwierzchniego płaszcza swych piór podobne do morza w czas burzliwy, — barwą głowy i spodnic naśladują piany, pędzące na czubach bałwanów.

Spłoszone widokiem przychodnia, pierzchają, wnet jednak zlatują białemi piersiami we wzdęte podrzuty żywiołu i, jak łodzie człowiecze, ponosić się każą.

Jedna tylko, odbita od stada, wciąż krąży.

W moję stronę nawraca.

Unosi się wyżej i niżej, jak jastrząb kołuje, leci w prawo i w lewo.

Jak strzała wprost na mnie przypada z wyraźnym zamiarem napaści.

Widzę tuż nad swą głową rozpostarte jej skrzydła, dziób rozwarty, słyszę krzyk chrapliwy i dziki.

Gdybym kij swój podźwignął, znalazł kamień, uderzył z całej mocy ramienia, zabiłbym napastnicę.

Dostrzegła, czy przeczuła niewiadomą mi władzą ten zasób mej potęgi, ten impuls mojej woli, bo krzyk jej stał się ostry, złowrogi, zaiste wojenny.

Nie inaczej — wyzwała mię do boju!

— Czegoż odemnie chcesz, skrzydlata? Com ci krzyw, śnieżnopióra? Czy i ty w tej samotni, na granicy wód i piasków tylko prawa wojny za prawa uznajesz?

Krzyk rybitwy nie ustał, nie zniżył się, nie nacichł, lecz się wzniósł i dosięgnął granicy obrzydliwej rozpaczy.

Zrozumiałem treść tych ptasich okrzyków.

Zrozumiałem dokładnie.

Poczytuje mię, widać, za kształt śmierci dwunogiej, która zmierza w kierunku jej gniazda.

Krok mój poczytuje za krok śmierci, który lada chwila nadepnie na gniazdo, ukryte kędyś w zagajach charszczów i badylów tej strony, ukręcone z kolczastych włókien mikołajka.

Wiem, dobrze wiem, co jest w krwionośnem sercu, gdy dwunoga śmierć zbliża się do gniazda, przytulonego do ziemi.

Wiem, dobrze wiem, co jest w rozwartych oczach, gdy spokojna, obojętna, radosna przechadza się w pobliżu, na ścieżce prowadzącej do progu.

Mam w gardzieli tensam krzyk, który się spod twego serca wydziela, ptaku popielaty.

Każdy odcień chrapliwy pamiętam na widok przybliżania się i na widok oddalania.

Znam także odcień tego krzyku, gdy nie omija schronienia i, wpośród tysiąca innych, do mojego jedynie wybiera się w odwiedziny, — gdy, — po tysiąckroć przeklęta! — na mojem nieszczęsnem sercu wszechmocy swojej próbuje.

— Ucisz się, matko!

Nie ja to jestem kształtem śmierci twojej, lub czyjejkolwiek, kogo aż do śmierci miłujesz.

Ja jestem, jako i ty, jedynie ptak polotny, którego skrzydła burza z prawa i z lewa podbija.

Przez twoją świętą trwogę, przez twój krzyk żałosnej miłości, niechaj bezpieczne będzie twe gniazdo małe!

Wyprowadź cichcem, a nieobaczkiem, przed zbójcami dzieciątka swoje między dwie błękitne otchłanie, wyższą i niższą, między niebo i morze.

Niechaj szczęśliwie, według swojej natury, w rozkoszy bytowania wygną sustawy i pióra swych skrzydeł.

Niech najpotężniejszemu wichrowi sprzeciw postawią i, jako żagle, zagrodzą drogę, żeby dzięki lekkiej przeponie ich kostek, ścięgien i piór sam musiał je naszać aż pod lecące obłoki, wywyższać, podnosić wzgórę, w promieniach słońca wiecznego.

★

Twórca dnia, wiekuisty i nigdy nie gasnący ogień niebieski, doskonały krąg żywota, światów i bytów, złote słońce stacza się oto z nieboskłonu.

W szkarłat niestrzymany dla oka nabrzmiałej kuli przemienia złoto swojego kręgu, rozciąga kulę w kształt wydłużonego elipsoidu — i w wodach puckich, kędyś naprost królewskiego Rzucewa tonie w rozpłomienionym Małego Morza obszarze.

Gdy na wybrzeżu, w gwarnym Sopocie, w pięknym Orłowie, w Gdyni, rozgłośnej od łoskotu prac, rozciąga się już przedzmrok błękitu, gdyż słońce zaszło tam już za lasy uroczego wzgórz łańcucha, — na podsypiskach i dunach Helu wciąż jeszcze trwa świetlisty dzień, aż do ostatniej chwili pogrążenia się w falach górnego krańca płomiennej słońca korony.

Do tej ostatniej chwili skaczą w jego promieniach dzieci radosne na białych pochylniach i w pianach tęgo wygrzanych.

Oczy wszystkich śmiertelnych z pożegnalnem westchnieniem i z wewnętrznym szeptem uwielbienia zwracają się w tej chwili ku odchodzącemu rozdawcy żywota.

W każdym oku objawia się trójkąt piękności, wiecznie istniejący i zawżdy ruchomy, przenośny z miejsca na miejsce, stworzony przez linie nieskończenie długie między źrenicą, między słońcem ubywającem i linią jego odbicia w morza drgającej powierzchni.

Na drgającej morza powierzchni wynika kresa ruchoma, której widok zależny jest od każdego kroku człowieka w prawo lub w lewo, istniejąca rzekomo na rozległych wodach, a nieistniejąca poprawdzie.

Dokądkolwiek pójdzie i skądkolwiek spojrzy, — gdyby nawet obszedł Wielkie i Małe morze wokoło,

ściele się przed nim o zachodniej godzinie na wsze strony, ażeby mu pokazać najpiękniejszy widok na ziemi: ślad słońca odchodzącego, który na morzu przygasa.

Jakże wieloraka, jak nienaśladowana dla żadnej ze sztuk i dla żadnego z usiłowań człowieka jest złotolita i srebrnolita, rubinowa i dyamentowa wstęga na morzu!

Dla każdego oka jest własna, dla każdego oka gdzieindziej, jest wszędzie, a w istocie nigdzie jej niema.

Igrające ryby skaczą w niej, zataczając dokoła siebie kręgi i sypiąc iskry złote, są to bowiem w tej chwili ryby złote, których nigdy nie było i nigdzie niema, okrom wielkiego mocarstwa cudownych baśni piastunek i okrom nieobeszłego mocarstwa poezyi.

Trójkątne skrzydła płóciennych żaglów, — klin na przedzie, wielki grot w środku, topżagiel w górze, — przesuwają się poprzez pręgę złotolitą, nabierając złota, srebra i drogich blasków w bryty swoje, i w zaświat czarodziejski, do mocarstwa baśni dzieciństwa, do stolicy Cudogrodu z tych wód odpływają.

Gardzina młody, bohater nieulękły ze świetlistym oszczepem w dłoni stoi przy drzewie masztu i śle oczom starym zdaleka patrzącym pożegnania na zawsze, na zawsze — niepojęty znak dobranocny.

Zagasło słońce w wód topieli.

Noc nadciąga.

Przepych szkarłatnej, cienkiej pawłoki ściąga ze siebie lśniące morze.

Zagasa szkarłat, szafran, kolor nasturcyi, zieleń, błękit, niebieskość i fiolet.

Zdmuchnięty został i zagaszony złoty szlak drogi słonecznej.

Smutek i przestrach, nie dający się ująć w wyraźne słowa, ani nazwać po imieniu przejmuje tajemnym sposobem kości i uciska serce człowieka.

Niepokój potrąca nerwy, gdy zagasła złota światłość słoneczna, a trójkąt niewiadomy, samoświecący wyjęty jest ze źrenicy.

To noc, siedlisko rozkoszy snu i okrąg straszliwy bezsenności, — gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie, — daje znak o swem panowaniu.

Noc, — dziedzina rozpasania się ciała i rozpętania się mąk duszy, umocowanej i skrępowanej za dnia przez pamięć, którą słońce żywi i hoduje.

Noc, — otchłań samopoduszczeń się rozpusty i jaskinia bezładnych marzeń o wyjściu poza obręby rozumu, o wyłamaniu zagród, otaczających naturę ludzką, o potędze władzy, przewyższającej moc bogów.

Noc nastaje na ziemi, gdzie panował jasny syn słońca, zdrowy bożyc wcielony w ducha ludzkiego, wszystkowidzący i wszechwładnący rozum.

*

Nad borem znieruchomiałym i w głębokim pogrążonym milczeniu, nad łagodnem zachyleniem się drzew, które tworzy ostatnie zakończenie półwyspu, — zakręt ukojenia, — lśni pełnia księżycowa.

Za tem półkolem uciszenia łagodne morze w blasku miesięcznym igra srebrnem falowaniem.

Sen głęboki zstąpił na ziemię i na morzu panuje.

Zacichły ptaki w boru, mocno trzymając się swych łożysk snu zakrzywionemi szponami.

Zapewnie śpią nawet ryby, ocierające się wielobarwnemi łuskami i najeżonemi skrzelami o bujne, dziwaczne i fantastyczne krzewy wodorostów.

Nawet igranie morza z blaskiem księżyca nierzeczywiste jest i uroku pełne, jak sen.

O, śnie!

O, niepojęta siło odradzania nas do życia rzeczywistego i przeistaczania w inną naturę!

Nasycasz ciało nowemi siłami, a w tymsamym czasie nosisz nas o setki i tysiące mil od miejsca, gdzie powłoka nasza spoczywa.

Nosisz nas po przestworach i głębiach, czyniąc z nas istoty inne, niż jesteśmy na ziemi, — lekkie, zwinne i lotne.

O, śnie, tajemnicza potęgo!

Z żebraka i bezdomnego włóczęgi, zażywającego twardego wywczasu w przydrożnym rowie, czynisz króla o sercu radosnem, o myśli wspaniałej, o oku szczęśliwem na widok wiecznie nowego ogrojca radości, gdy słońce powstaje.

Z króla państw, monarchii, księstw, ziem i przestworów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, czynisz nędzarza najostatniejszego między ludźmi, z którego oczu potoki łez nadaremnie płyną, skoro zasnąć nie mógł w nocy nieskończonej.

O, śnie!

O, świecie radosnych krain i przygód nie do wiary!

Wracamy oto znowu z wypraw, z przechadzek, gdzieśmy widzieli doliny szczęścia cichego, anielskie oblicza i boskie wejrzenia, — albo straszliwe piekieł urwiska.

Wracamy na miejsce swoje w rzędzie dwunogów i czworonogów, w oborze żarłoczności i trawienia, na metę walki o jadło, legowisko i rozkosz miłosną.

A byliśmy przed chwilą podobni wiatrom i blaskom, podobni bogom i bogobojni, dalecy od siebie samych, — albo byliśmy straszliwsi i obmierzlejsi dla siebie samych, ohydniejsi i bardziej przeklęci od szatanów.

Podobnie, jak w morzu wzdyma się wodny garb, podobnie, jak wyciąga się z oceanu ku księżycowi dziób chciwy, ażeby się do niego zbliżyć, — tak samo z istoty człowieka wiecznie ku księżycowi po nocy cości wznosi się i wyrywa.

Istnieją w nas tajemne i niepojęte siły snu zarazem i czuwania, somnambuliczne stany pokonywania w blasku miesięcznym przeszkód nie do pokonania napozór dla przyrody człowieczej, błądzenia po szczytach spadzistości, po gzemsach budowli i wstępowania z łatwością po pionowości ścian.

Istnieje w nas siła marzeń na skutek blasku księżyca, wyrywająca się z naszej zdrowej natury, pragnienie dotarcia do innej strony, zatajonej i niewiadomej, skrytej w nas, czającej się poza chuciami mężobójcy, zdrajcy i szpiega.

Porwani przez siłę marzeń obcujemy ze świętym

Franciszkiem, ze świętym Alexym i ze świętym Wojciechem.

Istnieje w nas siła zachwytu, który księżyc świecący nieci, ciągnie z nicości nazewnątrz, podnosi i wydobywa.

Dzięki temu zachwytowi wzdychamy i płaczemy za świętem naszem dzieciństwem, odczuwając niepojętą za czemś żałobę.

Dzięki temu zachwytowi, odczuwamy niepomierną, bez powodu radość, iż nie jesteśmy zwierzętami i roślinami, lecz że duch w nas wolny przebywa, duch anioła, wtrąconego do cielesnego więzienia.

*

Czarna kula, wywieszona w skwarny dzień letni na poprzecznicy masztu semaforu obok morskiej latarni, postrach budzi na morzu.

Jaskrawa, czerwona latarnia, umieszczona w tejże kuli, gdy ciemna noc zapadnie nad lądami śpiącemi, podwaja i potraja grozę ciszy.

Czujna latarnia zdaje się oświetlać po nocy czyhające, zdyszane, zdradzieckie burzy oblicze.

O pewnej godzinie nocy daje się słyszeć huk daleki.

Świszczące wiatry dopadają półwyspu i ze wszech stron obskakują węgły domów.

Wśród spłoszonego szumu gałęzi nisko zginają szorstkie czuby krzywych sosen.

Czarny las szarpie się w mroku.

Deszcz chłoszcze starą karpiówkę dachów zzieleniałych.

Podmuchy zbiegane w bezkońcach morza, napotkawszy okienka domostw, przyczepionych do piasku, nagle w nie tłuką, i biją we drzwi, na głucho zatarasowane.

Ciemna jutrznia odsłania morze w pianach, skaczące w furyi na duny, od dżdżu szare.

Daleki, zbrudzony horyzont zasłany jest jakgdyby wzburzoną kurniawą śniegu.

Dzikie bałwany nietylko się rozbijają, lecz zaprawdę roztrzaskują o brzegi.

Zielone ich zawoje zwisają nad półcylindrycznemi wnętrzami, przez nagły ruch polerowanemi, jak stal, a migotliwemi, jak ogień.

Wiatr zdziera z nich pianę strzelistą i miota ją na brzegi dalekie, lub na morze szalone.

Tłoczą się jedne na drugie pian istne zaspy, miazga wzburzona i szumiąca po pękniętych denegach.

Długie drogi wlokącej się śliny od grzbietu do grzbietu wodnego znaczą podstępne i obłędne szlaki i ścieżki żeglarza.

Zdala pędzą, niby wzgórza ruchome ścigłe zaspy ku lądom.

Na mieliznach podbrzeżnych, wpół się łamią, przepękają w swej mocy i niweczą w swej sile.

W śmiechu pienistym wzgardliwego żywiołu huśtają się belki ciosane, tramy, ostro kończone paliszcza, pniaków korzenistych kadłuby, gałęzie z kory obdarte, wyrwane skądś deski i rozszarpane gdzieś szczątki człowieczego klecenia.

Świszczący wiatr śmiga stronami i smaga wysoczyzny półwyspu.

*

Między Rożewiem a Sambią zalega ten ląd dziwny, mierzeja ponad stumetrowemi głębiami.

Skądże się tu wziął w czystych toniach, jak tu powstał, — ni to przylądek, ni wyspa, po miljon kroć przez wściekły żywioł zdobywany i po stokroć szarpany na sztuki?

Tam, gdzie dziś cichy sosnowy bór szumi, istniał pono, — jak głoszą klechdy uczonych, — jakowyś ląd, w jakowemś morzu pradawnem.

Studnia w tem miejscu, sto z górą metrów w głębokość ziemi idąca, przecina piasku tylko dwa metry, dalej do dziewięćdziesięciu ośmiu metrów przewierca formacye diluvium, a do stu sześciu metrów formacye kredowe.

Woda, bijąca z wywierconego otworu, strzela w górę na dwa metry ponad poziomy powierzchni.

Kędyś tedy na lądzie dalekim, w jakiemś wyżynnem jeziorze ta woda ma źródło siły swego wytrysku.

Mówią klechdy uczonych, iż ów osuch pierwotny począł w czasie narastać i grubieć, zanim grobla północna poczęła się, jako rewa podwodna.

Grobla północna, — dzisiejsze piaski i niziny Wielkiej Wsi i Kuźnicy i obok nich kotlinowe głębie podmorskie, — były ujściem przedwiecznej rzeki olbrzyma.

Szeroką paszczą swoją, czy szeregiem strumieni w piaskach rytym, Wisła tutaj uchodziła do morza.

W prawieku, gdy lodowiec wspierał się o południowe Bałtyku wybrzeża, Wisła płynęła na zachód szlakami Noteci, ażeby w jednę rzekę splatać się z Łabą.

W dzisiejszej jej delcie pod Gdańskiem stały jakoweś wody zakisłe, olbrzymie zasiąkla, jeziora i błota, z których wody uchodziły na zachód, poza kępą Oxywia, torfowiskiem Gdyni i Redy.

Gdy zaś lodowiec zupełnie, aż do Skandynawii ustąpił, Wisła przebiła się ku północy.

Wciągnąwszy w siebie i zagarnąwszy ze sobą zasoby olbrzymiego gdańskiego rozdołu, z jezior, z błot, ze strumieni cieknących, od strony Laskowic, od Prabutów, od Dzierzgoni, spłynęła ku północy.

Szeroką drogą swoją pogarnęła się ku dawnemu rozdołowi między dunami i kępami, gdzie dziś rozpostarte leżą torfowiska Chylonii, Cisowa i Rumii.

Poprzez teraźniejsze Bruckie Żuławy, między Osłaninem i Rewą wlewała się w łożysko, leżące dziś na dnie morza, gdzie torfy, przysypane piachami spoczywają w głębinie trzydziestometrowej.

Kędyś między Wielką Wsią i Kuźnicą szła między szory głębokie, słowińskie.

Niezliczone jej potoki, żłobiące drogi swoje skroś gór i rozłogów olbrzymiego kraiszcza, wynosiły w ciągu długich stuleci, podczas pełnowodnych wylewów i czasu wiosennych roztopów muły i piaski, kamienne przymarznięte do płynącej kry lodów, olbrzymie pnie drzewne o trzymetrowej średnicy, które do dziś dnia leżą w piaskach międzymorza, nie na jego ubogiej wychowane glebie, lecz przyniesione z bezbrzeżnej polskiej dziedziny.

Dwa wielkie skrzydła tego przedwiecznego Wisły łożyska nieznane są, albowiem w morzu nazawsze zginęły.

Jedno od Gdańska do Gdyni, drugie od Rewy do Wielkiej Wsi i Kuźnicy.

Obadwa pochłonęło morze, które wiekuiście wyniosłe kępy ujada, a przyległe do nich niskie lądy na dno swoje potrąca.

Widnieje tylko szlak ziemski między Gdynią i Rewą.

I dziś jeszcze Wielkie morze czatuje, ażeby się wedrzeć na błota karwińskie, torfy ich piaskami zasypać, a z wyżyny Rożewia uczynić międzymorze, któreby kształtem swoim głowę bawołu tworzyło, z dwoma, — helskim i karwińskim, — rogami.

Z pracy Wisły przedwiecznej, której długości i wielkości niepodobna ogarnąć myślami, powstały olbrzymie złogi mułów, piasków i kamieni, które morze zwycięskie, wdarłszy się w te obszary, mełło i wyrzucało za siebie.

Przez wieki tworzyło wał, — zrazu podwodzia, — płytką rewę, szereg mielizn i haków, — potem groblę nadwodną, stałą cienką mierzeję, nieraz poszarpaną w stu miejscach, która kępę dawną Helu z kępą Swarzewa złączyła.

Jak teraz przed zdumionemi oczyma wędrowca odkrywają się tajemnicze doliny, rozdoły w lasach pochowane, biegnące ku zakisłemu i w posępną wilgoć otulonemu łożysku, urocze samotnie Starego Kacka, Witomina, Chwarzna, Chylońskich Pustek i Łężyc, — prawdziwie z tatrzańskich regli tutaj przyniesione

i w nadmorskim osadzone nadbrzeżu przez bożyszcze złudzenia, — taksamo wielką rzekę przeszłości wyraźnie ukazuje nam w tych miejscach pamięć wyobraźni.

Ukazuje nam ją zachwyt nasz, — Prawisłę, — lechickiej ziemi pracownicę olbrzymią.

Puszcze niezbrodzone, pierwobory dla siebie samych rosnące nad jej brzegami błękitnieją w oddali, zielenieją w pobliżu.

Śnią nad jej urwiskami samotne święte dęby i samotne święte lipy, wszczepione olbrzymiemi korzeniami w żwiry i gliny, przez tajemnicze siły lodowców uzgarniane, w szczyty i zbocza gór Radłowa, Oxywia, Białorzeki i Dębogórza.

Jak za dni naszych mewy białoczelne nad jej szerokim wodnym przestworem rytmem rwanym, w sposób niewysłowienie uroczy miotają skrzydła długie i wydają krzyk swój bojowy, — ongi taksamo.

Jak za dni naszych, taksamo drzewiej i zawżdy zagony łososi idą w przedwiośnia zgodnemi i wiecznie nowemi pochody w górę jej popławów z morza szumnego aż do podnóża gór tatrzańskich, skąd jej zimne, przeczyste źródła biją.

*

Jak za dni naszych, skoro na Małem Morzu i przy brzegach wysokich lody stopnieją, a południowy wiatr gorących tchem powieje, taksamo ongi, hufce łososi ciągnęły z lodowato-zimnych okręgów polarnego oceanu ku słodkowodym bławej zatoki toniom.

Jak za dni naszych, taksamo wtedy, pędziła je w górę tajna potęga miłosnej roskoszy z modrych mórz w blade Wisły rozlewisko.

Jak za dni naszych, taksamo drzewiej i zawżdy zastępy ich szły uszykowane według odwiecznego porządku.

Ciągnęła i ciągnie zawsze na przedzie największa srebrnołuska i bezplamista samica o wielkich uzębionych szczękach i kościach paszczy najeżonych ostremi kielcami.

Za przodownicą płynęły i płyną jedna za drugą w odstępach, jakgdyby na cztery stopy człowiecze wymierzonych samice mniejszego wymiaru i młodsze.

Za samicami płynęły i płyną samce w odstępach, jakby na cztery stopy człowiecze odmierzonych.

Za samcami płynęły i płyną młode w szyku porządnym, przypominającym co do kształtu klucz dzikich gęsi, gdy lecą z północy w południe.

Skoro piękna panowała pogoda, płynęły wierzchem wiślanego wartu z szumem, który łudzi ucho, jakgdyby nadejścia burzy.

Skoro nad krajem przelatywały wichry, pochód grona łososi zapadał na dno i w ciemnicy wodnej ciągnął w górę po trzy mile na godzinę.

Wówczas w łożysku starej Wisły, nie przerażał ich tak jeszcze wysmukły napastnik i zdrajca.

Z czasem nauczyły się czujności, bojaźni i lęku wobec jego złowieszczej postaci, — wszystkich kształtów i kolorów, które z nim są złączone, — barw białych, czerwonych, jaskrawych, — oraz ostrożności wobec wszelkich nieznanych hałasów i dźwięków.

Skoro przebiegły napastnik począł stawiać jazy u brzegów, a w warcie rzeki drygawice, w których niejeden ród wędrowny wyginął, przodownica nauczyła się poznawać wrogie sidła i złowieszcze zasadzki.

Napotkawszy je w swojej drodze, rzucała się wskok, niemal w lot i mknęła, jak błyskawica.

Za nią tymże szlakiem niewidmym, niemal lotem, szył wszystek szyk, szybujący nad przeszkodą.

Jeżeli zaś zasadzka nie była do przebycia lub przerwania, przodownica w kłąb zwijała swe ciało i przeskakiwała pułapki.

Zginała się, jak sprężyna, przybliżając widłowatą płetwę ogona aż do wystającej szczęki swej paszczy, nagle rozprężała zwinięte koło swego długiego kadłuba, z całą potęgą uderzała bokiem o wodę i, odbiwszy się od jej powierzchni na pięć i sześć stóp w górę, przeskakiwała zaporę.

Za jej rozkazującym przykładem czyniły to samo wszystkie osobniki zagonu, aby za chwilę ustawić się znowu w dawny agmen i z ogniem niesłabnącym gnać w swoją stronę.

Skoro zasie dosięgły wód bystrych, zimnych a nieskalanych, przelewających się ponad dnem żwirowatem Białego i Czarnego Dunajca, przodownica w towarzystwie kilku samców obierała miejsce na tarło.

Zwróciwszy się głową w stronę polotu wód bystrych, tarła się brzuchem o chropawe dno rzeki, ażeby ze siebie ikrę wycisnąć, która się w małem zagłębieniu dennem gromadzi.

O to miejsce, o prawo i możność polania ikry

swym mleczem, samce wiodą między sobą bitwy zawzięte.

Młode łososie składają wcześniej swą ikrę, to też wcześniej wyhodowuje się ich brzuchate potomstwo.

Wcześniej wykarmiają się młode rody, własnem żółtkiem pasąc i kształtując organy, serce i nerwy.

Młode, wysmukłe łososie z głową śpiczastą i grzbietem pręgowanym brunatno, w listopadzie wracają do morza.

Stare trą się znacznie później i do morza wracają aż w grudniu.

Będąc ze swojej natury istotami słodkowodemi, ci wieczni wiślni oryle, zapędzeni na słony ocean, po którym góry lodowe żeglują, a niezmierzony wieloryb gejzery ze siebie wyrzuca, — wracają niezmiennie do dawnej ojczyzny ich rodu.

A w drodze swej ku wyżynom skalistym, nie pożywiają się niczem, lecz łakną, schną i niszczeją.

Stają się, jako strzały, które w upodobaniu niepojętem lecą do miejsca zarania swojego gatunku.

Znana im jest jakaś postać furyi miłosnej, szału z tęsknoty do świętego źródła, które wypiastowało ich rodzaj w swej przezroczystej głębinie.

W głodzie i szaleństwie poprzez wieki zamierzchłe i czasy idące drgają w Wiśle rzece, te żywotwórcze struny.

*

Po tych zboczach, pagórkach, polanach i piaskach, przyniesionych przez wody płynące, przebiegała szybka stopa człowieka, od znużenia bezsilna.

Mogiła jego tu i tam leży na wzgórzu.

Rozlegał się nad szeroką wodą płynącą i budził łoskot echa w puszczy nad morzem jego krzyk wydany w pościgu i w głodzie.

Łuk nagięty jego dłonią bolesną miotał upierzone strzały w piękne białe piersi morskiej mewy.

Zabijał czajki, rybitwy, nury, burzyki, kormorany, kuligi i perkozy, — strącał z niebios dzikie gęsi, kaczki i piękne kiełpie, wolne łabędzie, gdy w południowe krainy z krain północy leciały.

Kamienny młot człowieka uderzał w furyi we włochatą pierś zwierzęcą.

Jakże brzmiało imię miłosne, którem przyzywał z oddali towarzyszkę?

Jak brzmiało słowo pieszczoty, wycmokane w stronę kolebki z wikliny?

Jakie nazwy nosiły przedmioty i suma ich, widok tej ziemi, — prawa i złudy, których istnienia nauczyło go uczucie głodu i uczucie honoru?

Siła jego i zastępujące siłę oszustwo przewaliło się poprzez siłę niedźwiedzia i tura, wilka i łosia.

O, potomne mewy, o, bezpamiętne ptaki, które z wyżyny swojej tyle widzicie!

Czy takiesame, jak my, żywiąc uczucie bolesnej a niewytrzebionej miłości swego potomstwa i gatunku, macie i inne nasze uczucia, przesądy i przywary?

Pamiętacie każda z osobna, jako ród, jako zbiorowisko, aż do najdrobniejszego szczegółu, aż do najlżejszego porozumienia, co czynił praojciec i pramatka przed niezliczonemi wiekami.

Macie jakoweś niezłomne prawa, rządzące państwem skrzydlatem.

Lecz czy macie jakiekolwiek wspomnienia?

Tyle widziałyście, siedząc na swem dziedzictwie przez wieki, na rewie między Kuźnicą i Rewą, odkąd się z wód wyhynęła! Może podajecie w swej mowie, w swym zbiorowym rozgwarze, w zgiełkliwem swem obmowisku, w wynurzeniach krzykliwych i nahalnych jakoweś swoje klechdy i dzieje.

Może porozumiewacie się swoim sposobem, tak jak ludzie swoim, o chytrych sposobach szubrawstwa, o sztukach czyhających morderców, o nienasyconem łaknieniu i nienasyconem pragnieniu wśród wiekuiście tych samych odgłosów morza, ślisko i chrapliwie bijącego o nagie te brzegi.

Może wydajecie jedynie głosy bezmyślne, jak drwal rozszczepiający zrosty pniaka, które się nie poddają rozłączeniu, jak rataj młócący grubą ściółkę snopów na klepisku, która z kłosów nie chce ziarna wydawać.

A może widzicie coś więcej, niż my ludzie.

Może widzicie nietylko piaski wybrzeża i morze ochrypłe na piaskach szumiące, zatoki i przylądki barwiste, podobne z oddali do głów gołębich i do ciał meduz barwiście kraszonych?

Może wiecie coś niewiadomego nikomu o cieniach, które czas pożarł i wchłonął, a przeszłość zagrzebała w sobie.

Może widzicie jeszcze ciała, które tu przechodziły, wydając krzyk walki i pracy, może pamiętacie ziemianki, osiedla, chałupy z chrustu i miasta, miasta

tak zatopione, że ich nie widać poprzez najczystszą wodę, i tak zagrzebane, iż z nich został nad wądołami gruzu tylko badyl wysmukłego ostu o kwiecie blado różowym, róża dzika i kępa szarej mietlicy, która się za wiatrem pochyla?

Nie odpowiecie nam nigdy, gdyż niezrozumiała jest wasza mowa, spiskująca wieczyście przeciwko podstępowi zabójców.

Mowa wasza skazana jest przedewszystkiem na wyrażanie spraw głodu, miłości, ucieczki i napaści.

To my, wędrowcy ziemi, którzy już nie zabijamy, którzy potępiamy śmierć wszelką, którzy uwielbiamy wieczne życie w jego prawdzie i w jego złudzie, skazani jesteśmy za wszystkie twory ziemi na pamiętanie o wszystkiem.

Lecz ptaki niebios i ziemi bardziej, głębiej, szczerzej i piękniej od nas uwielbiają piękność i wolność istnienia.

Wznieśmy się z naszych podziemnych nor, z kanałów, jam, piwnic, z zatęchłych domów i stańmy się, w uwielbieniu wolności i piękności istnienia do wolnych i pięknych ptaków podobni!

Uwielbiajmy pospołu z nimi piękność wiekuistą, minioną i dzisiaj żywą.

Uwielbiajmy pochody słońca nad lądami, które są i nad rzekami, których już niema, — wschody i zachody, wznioślejsze w swem czarodziejstwie ponad śpiew ptasi i ponad słowo człowieka, — nawroty wieczne, a nigdy nie ulegające odmianie.

Uwielbiajmy zawsze nanowo niespodziewane, a wieczyście nawracające się o swej godzinie wędrówki

księżyca w nocnych niebiosach, według odwiecznych, niezłomnych, świętych zakonów, wśród olśnionych przezeń obłoków, których połyski i cień zachwycają po wszystkie czasy duszę człowieka.

Wznieśmy się w radości naszej ponad utwierdzenie, w przestwór elementów i nad niezmierzone bezgranicza morza.

*

Mierzeja prastarej Wisły, a później, gdy morze ujście jej zatopiło i w sobie pochłonęło, — międzymorze, — wąska grobla między wyspą Helu i kępą Swarzewa, przybrała w ciągu czasów kształt miecza o potężnej rękojeści, strzelistej, wąskiej i niezmiernie długiej klingi nasadzie, która ku swemu końcowi rozszerza się i rozrasta na podobieństwo «małodobrego» miecza katowskiego.

To podobieństwo zwiększa jeszcze wycięcie południowe zatoki między przylądkiem Starego Helu i ostatecznym cyplem półwyspu.

Brzuśce miecza zwrócone jest w pełne morze.

Brzuśce to, które można nazwać ostrzem, gdyż narastając bez przerwy, wciąż się niejako naostrza snadziznami napoły widocznemi, szeregiem niskich płycizn, nad któremi zielenice szumią.

Brzuśce to jest gołe, nagie, śnieżnie białe od piasków najsubtelniejszych, stalowo-niebieskawe od fali wiecznie żywej, na płask po tem ostrzu chodzącej, stalowo-zielonkawe od łanów wydmuszycy, jasno-zielone od porostów sosnowych, od karłowatej puszczy, zarastającej zaspy-doliny.

Trzy równoległe rewy zalegają wzdłuż ostrza od strony Morza Słowińców.

Pierwsza, — osuch, — na czterdzieści kroków od brzegu a na dwie stopy pod wodą, — druga na stopięćdziesiąt kroków od brzegu, w głębokości siedmiu stóp pod powierzchnią, — trzecia o stopięćdziesiąt kroków dalej za tamtą, w głębokości dwudziestu stóp pod wodą.

Zachodnia i południowa połać lądu, ziemia stara, — *insula Helae,* — ma kolor głębokiej zieloności, gdyż ją od niepamiętnych lat porasta bór na wielkiej przestrzeni, wydłużający się na kilkadziesiąt kilometrów.

Środek, północne i wschodnie połacie, zadrzewione są młodą sośniną, sadzoną dawniej w kwadratach osłony.

W młodym swoim wieku i rozroście ten przyszły las przypomina do złudzenia tatrzańską kosodrzewinę.

Kosówka Helu, tam i sam w pień już przechodząc, przybiera kształt przedziwnie wykrętny, fantastyczny, pochyły, rozwidlony.

Na piasku, przysypanym warstwą igieł, które wiatr po śliskich i okrągłych powierzchniach rozmiata, pokazuje się pierwszy porost, futro mchu szedziwego.

Rozsiadłe zwartemi kępami te istne liszaje ziemi przybierają barwę piasku zmoczonego od deszczu.

Ta odzież ziemi bezpłodnej, niemal pozbawiona korzeni, oddziela się odeń bez trudu, odpada za najlżejszem potrąceniem.

Sosenki pienne, których krzywe, boczne gałęzie,

uschły już i opadły, obwieszone są również mchami suchemi, mnóstwem zeschniętych chrapeciów i niestrąconych jeszcze igieł.

Wszystek ten zasób wyschnięty wichry wnet zedrą i po kożuchu mchów poroznoszą, ażeby z czasem utworzyć nową próchniejącą warstwicę.

Zatrzyma się w niej kropla wilgoci i wystrzeli trawka najpierwsza.

W zagłębieniach i dołkach wyhynie rdzawa mietliczka, wybiją się złote główki ostromlecza, skabioza polna o kolorze morza w dzień wietrzny.

Na grubych pokładach igieł zapachnie wonny miodownik i dziewica rzadko spotykana, pani tych stron — koniczyna.

W mokrych jamach, w głębiach zakisłych, gdzie woda długo się trzyma, wystrzela szorstkie sitowie.

Postać zasp piasku, które ten cały kraj utworzyły, odzwierciadla w sobie niestałość, zmienność i dowolność morskiej fali, która je ze siebie wyrzuciła.

Jedne z tych wyżyn ciągną się nad brzegami wschodniemi, tworząc łańcuch niestały fal piasku, tak dużych, jak Bocianiec, albo Szwedzkie Góry, — inne tworzą dowolne kwadraty i trójkąty rozdołów, otoczonych nieregularnemi kopcami.

Strome duny piasczyste wyskakują znienacka w środku najszerszego rozłogu, gdzie już sosny olbrzymie stoją u ich podnóża.

Te wzgórza zbyt wysmukłe, o zboczach zbyt stromych, do których roślinność przyczepić się nie może, skoro mchy pierwotne osunąć się muszą, a suche igły zmiecione zostały, — zsypują się i spychają

w sąsiednie rozdoły i płyną przed siebie suchą rzeką piasczystą.

Często wędrująca rzeka piasku zasypuje wielkie drzewo sosnowe na wysokość dwu i trzech metrów od podstawy.

Sosna zasypana nie umiera, lecz szuka korzeniami nowej warstwy żywotnej, która się na nowej powierzchni wytwarza.

Zapuszcza w nową dunę swe wzniesione korzenie.

Lecz nowa nadchodzi ławica i znowu przywala suchym piaskiem jej żywe, zielone gałęzie.

Skoro pozostawiony dla stóp ludzkich szlak w lesie igły smolne przysypią, wnet staje się on posłusznie twardym i równym chodnikiem.

Z prawej i lewej strony przybiegają do tego wolnego przesmyka wrzosy tak gęste i zarosłe, iż stanowią niezbrodzone zagaja.

Nigdy pilny ogrodnik nie zdoła tak wycyrklować swej ścieżki w kwietniku, jak to czynią nadobne wrzosy na Helu, oraz pokrewne im wrzosowice, rodzące tylko tutaj swoje czarne jagody.

Ścieżka otulona kępami, kłębiącemi się nad nią, równa wszędy i wszędy jednaka, biegnie w dal, w coraz inne, coraz odmienne pustkowie.

Przemierza kilkadziesiąt kilometrów błogosławionej samotni, którą tylko czasami złotolita sarna zakłóci, a sikorka sosnówka nieśmiałym świstem przeszyje.

*

Dokądkolwiek poniosą mię nogi od nadbrzeżnych zasp piasku, wszędzie zastępują mi drogę kopulaste wydmy szare.

Przewidujący umysł niemiecki i pracowite ręce niemieckie zalesiły je, sadząc małe drzewka sosnowe.

Ażeby wiatr nie zdmuchnął bezsilnych sadzonek pospołu z lotną i sypką samej wydmy powierzchnią, przewidujące ręce ogrodziły każde pólko kwadratem kołków gęsto bitych.

Tam i sam widać jeszcze próchno kwadratów ogrodzenia.

Gdzieindziej samo próchno wiatr po okolicy rozrzucił.

Na miejscu małych sadzonek las się puścił wspaniały.

Wilgoć podspodnia, którą piaski przechowują w sobie i trzymają długo, niczem gąbka, żywi zieleń igieł i szyszek, hoduje olchy i brzozy, karmi buki i lipy.

Ogromne pnie i strzeliste konary starych sosen, pochyłe w stronę wschodu, koloru miedzi czy złota starego, koloru ciał ludzkich, spalonych nad morzem od wichru i słońca, przerzynają olbrzymie rozlewisko zieleni.

Tu i tam z morza jednolitej zieleni wydzielają się kudłate i rozwiane brzóz czuby.

Stary, nienapatrzony helski lesie!

W letni, cichy poranek i w pogodne letnie odwieczerze, jakże jesteś przychylny dla znużonego wędrowca!

Zapach żywiczny wylewa się z twojej głębi, a niezliczone twe korony chronią wnętrze od wichru.

Najsroższy orkan, — ost, czy west, siewierz, czy zyda, — bijący w wybrzeża i roznoszący huk morski po całym tym kraju, do twojej głębi nie dotrze.

Zarośnięte trawą i zasypane igłami drogi twoje prowadzą w ostoje coraz bardziej zaciszne, w spokojność zupełną i w samo sedno pustkowia.

Wciąż nowa rozsuwa się przed oczyma ziemia morska, garbata od dun i kopców piasczystych, przestrzeń zaświatowa, melancholii pełne siedlisko milczenia.

*

Z potężnego pnia sosny, skoro tylko wydostał się z zaspy piasczystej na zachodnim przylądku, wyrastają tuż przyziemne konary.

Wystrzelają równolegle ku ziemi, albo z góry w pałąk wygięte kierują się ku niej.

Ścielą się grubemi ramiony o kolorze miodu żółtego po miale zszarzałym i do zimnej powierzchni się tulą.

Odbiegłszy zaś kilka kroków od śniata, wszczepiają się w zwiewną górę, nakrywają omszonemi piaskami, znikając w nich do znaku.

Dopiero dalej, znagła wystrzelają z pod ziemi koroną niezliczonych, bujnie zielonych gałęzi.

Z tych podziemnych konarów wyrasta plątanina krzywych gnatów, istnych postronków, żółtych lin i koślawych zawitek.

Zachodząc pod się i opasując jedna drugą, przeplatając się wukos skutecznemi podchwyty, zadzierzgając nierozerwalne pętlice i supłając grube węzły,

planowy ów zespół gałęzi opiera się zachodniemu wichrowi.

Srogi i nigdy niewyczerpany w swojej sile wiatr zachodni zdziera mchy szare i zielone, odmiata złogi igieł, odgarnia i przepędza warstwy piasku i obnaża niezmiernie daleko rozpostarte czarne wężowisko potężnych korzeni.

Korzenie ocapiają kopiec wydmy w poszukiwaniu wciąż nowej, wilgotnej warstwicy.

Srogi i nigdy niewyczerpany w swojej sile wiatr zachodni pochyla na wschód pnie wszystkie i w tamtą stronę każe się zginać gałęziom.

W tamtą stronę zwracają się zielone korony, osypane szyszek młodocianych niezliczoną ilością.

Za wałem piasczystym, który morze wygarnęło ze siebie i usypało na brzegu w niezbadanych swych zamysłach, czają się pnie koślawe, garbate, skręcone.

Przysiadłszy, niczem ludzie strudzeni, ubodzy, ścigani przez prawo okrutne, straszliwe i wieczne, za ścianą przychylną, żyją cichcem, ukradkiem, pokornie.

Rosną wszerz i napoprzek, gną się w głąb, leżą w piasku, unikając wychylenia się koron ponad grzebień zasłony.

Rozpościerają się po ziemi w pałąk skulone i suną w dal pokryjomu.

Wypuszczają długie liny gałęzi, niepomiernie rozległe ścielą wici obwieszone zielenią przyziemną i czubatemi szyszakami.

Zielone kępy igieł, szarpane od wiatru rozmiatają pod sobą piasek duny i żłobią wygładzone łożysko.

W miarę igieł rozrostu i w miarę przybywania ciężaru same zapadają w ów dołek, wygrzebany samochcąc.

Zanurzają się w grobie-kołysce, którą same pod przymusem żłobiły.

Wicher pomaga w tem dziele.

Zsypuje do tego schroniska stare igły uschnięte, pożywne, gdzieindziej zdarte z wierzchołków, tułające się po gładkich pochyleniach szyszki suche, wałeczki gałęzi spróchniałych, mchy wędrowne, wiórki kory.

W zakamarku gromadzi się pożywienie, omasta i wilgoć, z których wystrzela pierwsza kępka trawki kostropatej o kolorze zdziebełek, podobnym do piasku i o kolorze wiechy, podobnym do morza siwizny.

Nowy przybysz do nadmorskiej krainy kołysze się i pochyla ku wschodowi, jakby był wizerunkiem i wskaźnikiem drogi wichru, dmącego z zachodu.

*

Za piasczystemi wydmami, gnane przez wicher zachodni, wre, w prysk się samorzuca i huczy Małego Morza bujowisko.

Od brzegów napoły widnych przybiegając, które w dalekich pianach się kurzą, a giną kędyś w stalowej zarazem i rudej ruchawie, gnają w kierunku helskiego utwierdzenia ciemnozielone przewały, białemi gęsiami piany gęsto nasadzone.

Trafiając na mielizny podwodzia i na spychy suche zwara bałwanów wzmaga się w swej sile, rośnie w bryły strzeliste i zwija się w kłęby podsiębodne.

Z hukiem pękają rolingi, uderzając o wzniesienia wiszarów.

Strzępiate ich piany zlatują z grzbietów kipieli na wyślizgane ławic obnażenia.

Syczącem rozsnuwaniem śliskich zalotów i postrzępionych wybiegów nasycają podsypiska.

Piaski wybrzeża, przepojone już pianą, przyjmują falę za falą i nieskończenie kożdą odtrącają.

Najdrobniejszy piasku kamyczek, najmniej widoczne ziarenko, najmniej dostrzegalny pyłek znajduje swoje łożysko, układa się w jamce swojej i na wieki w niej pozostaje.

Grzmiące upadki zielonego podplusku raz wraz ubijają powierzchnię, aż się stanie nieskazitelną pochylnią, zaokrągloną u góry, twardą w sobie i bez ohyby wygładzoną.

*

Z łona wód wydana została ta wąska i strzelista ziemia.

Morze rzuciło ją nagą, białą od rozległych wzgórz i niw piasku, nieodzianą ani jednym liściem, nieosłonioną ani jednym cieniem na hodowanie słońcu, wiatrom i deszczom.

Lecz morze pamiętało i pamięta o podrzutku, wciąż go tajemnie podsyca i wspiera, niczem dziecko rosnące.

Żywiołem swym przejrzystym a niezmiennie wzburzonym okrywało niegdyś najwyższe jego wzniesienia.

W jego nieustającem pracowisku otłuczone zostały, ogładzone w kształt kulisty i podługowaty, wyślizgane w tysiącznych podrzutach głazy opok, przyniesione z okolic dalekich.

W ciągu niezmiernej długości dni i nocy złomy granitów tatrzańskich, kwarców, piaskowców i zlepieńców mełły się pośród biegów i nawrotów nawałnicy na okruchy, na żwir i na piasek.

Od pogranicza do pogranicza epok trwają prace, rozszarpujące obszary Rożewia, Swarzewa, Oxywia, Kamieńca, Radłowa, Orłowa.

Niszczeją góry-doliny, których już śladu niema, przyczółki wyniosłe, spiętrzone ponad czterdziestometrowemi Bałtyku głębiami.

Gdzie wystają złomy wielkie z radłowskiej mielizny, gdzie wełny się pienią nad oxywskiem zburzyszczem i gdzie się ciągnie mała głębia karwińska, usiana potężnemi głazami, ongi śmiały się w słońcu wyniosłe czoła ziemi, z których jeno zostały nazwy głuche, z normandzkiego napastnika mowy wyjęte, by o formie ich świadczyć.

Morze z nich inne utworzyło postaci, — płaskie, rozciągnięte u podnóża wydmuchów, śnieżyście białe, nasycone słońcem i solą, — mielizny na ostrzu północnem i wschodniem, a spychy na południowej i zachodniej płazie miecza helskiego.

Dla pełnienia tej pracy morze przeznaczyło dwie siły wyłączne, dwa morskie prądy, dwie rzeki w morzu, pracujące dla Helu.

Jeden z tych gońców, zdążający z zachodu ku wschodowi, wprawiany jest do biegu przez wiatry

z zachodu, które niemal połowę dni roku wypełniają swym czynem.

Od przylądka Rożewia pędzi w odległości jednego kilometra wzdłuż helskiego wybrzeża, żłobiąc głębokie w dnie łożysko, które się za zielenicami przybrzeżnemi, nagłym uskokiem dna podwodnego i czarną barwą powierzchni zaznacza.

Przy ostatnim przylądku południowym całości międzymorza, przy dziobie gołębia, szor zachodni znika w zatoce.

Przebiwszy się przez nią, przemknąwszy wskróś jej głębin, zjawia się przy wiślanej mierzei.

Wzdłuż tej mierzei posuwa się aż do Sambji i tam się na wschód wykręca.

Prąd zachodni przynosi na północne i wschodnie mielizny półwyspu piaski doskonale zmielone, gładko otoczone żwiry i okruchy żywota morskiego.

W głębi swojej niesie sól do lądu helskiego.

Przy wietrze z północno-zachodu wnosi do Gdańskiej Zatoki szybkie swoje wody prąd inny, prąd wschodni.

Od lądów sambijskich, zdąża on wzdłuż mierzei wiślanej i łączy się z postrachem ryb słonomorskich, z białą wodą wiślaną, wypadającą z paszczy Leniwki.

Prąd ten przemierza obszary Sopotu, Radłowa, Gdyni, Oxywia, wykręca się przed Pucką zatoką i mknie wzdłuż Czajczej Rewy, która między Kuźnicą i Rewą Małe Morze przecina.

Prąd wschodni, przynoszący do Gdańskiej Zatoki olbrzymie masy namułów i piasków, tnie w wysokie brzegi między Sopotem i Oxywiem, a pod tym-

samym kątem odbity, składa przeważną część swych darów powyżej Kuźnicy, na wysokiem helskiem wybrzeżu.

Potem mknie wzdłuż międzymorza, zostawiając na jego południowych wybrzeżach grube złoża napoły zmielonych kamieni, muły znacznie od zachodnich tłuściejsze, piaski nie tak sypkie i większą, niż z pełnego morza, wodorostów obfitość.

Ta masa wodna, nieraz podnosząca poziom Wiku o jeden metr ponad równię puckiej zatoki, spotyka się przy dziobie gołębia z silnym prądem zachodnim.

Obadwa mocują się tutaj na siłę i z dwu stron wyrzucają swe żwiry i piaski.

Powstaje w miejscu ich spotkania nikły, najostatniejszy podwodny przylądek, ławica ruchoma, która się to w tę, to w tę stronę zawija, niczem czapki frygijskiej górne zakończenie.

Wewnątrz tej to zawitki tworzy się maleńka zatoka, w której wir nieustanny świdruje głębinę.

Tu za zmienną i kapryśną czapki frygijskiej zawitką czatuje czarna, na pięćdziesiąt metrów uskokiem spadająca głębina.

Obiedwie morskie rzeki, zachodnia i wschodnia, pędzące w nieustannym pościgu wzdłuż obudwu brzegów Helu, usiłują powiększyć niezmiernie jego rozmiar i sześćdziesięciometrową głębinę gdańskiego jeziora do szczętu zasypać.

*

Przed wiekami żeglarz na morzu zbłąkany, spoglądający wciąż w niebo, ażeby szukać wskazówek,

zwiastujących koniec burzy, nadejście pogody i znaki kierunku tej strony, w którą mu dążyć wypadło, spostrzegał, iż istnieje współzależność przypływu i odpływu oceanu od ruchów wielkich świateł niebieskich, — od księżyca i słońca.

Rybak, trudzący się w swej łodzi około rzeźby wybrzeża, widział, iż powrót każdego następnego przypływu odpowiada niezmiennie przejściu księżyca przez tęsamą linję na niebie, naznaczoną myślami i oczyma.

Patrząc na przemiany pięknej nocnej pochodni,— zjawienie się na nowiu, jaśnienie w kwadrze, przepych pełni i dogasanie w odejściu, — obadwaj spostrzegli, że i przypływ zmienia się regularnie, zyskuje na sile, staje się bujnym i zuchwałym, ażeby później stopniowo się uspokajać, z dnia na dzień skracać i cofać swe wypady, w miarę zbliżania się granicy księżycowego miesiąca.

Wędrowcy, w pustkowiach oceanu zbłąkani, dostrzegli, iż wiosenne i jesienne porównanie dnia z nocą, — okresy syzygiów, — były zawsze sprzężone z potężnemi wylewami przypływów.

Skandynawskie bożyszcze sił powietrznych, — Thor wszechpotężny, — rogiem swym, który zanurza w głębokości oceanu, podnosi żywioł, a boskim tchem zniża go znowu naprzemiany.

Potężniejsi w mądrości swej od bogów — Kepler i Descartes, Newton i Laplace wyświetlili, w jaki to sposób przyciąganie słońca i księżyca wywiera wpływ na ruchliwe morza powierzchnie.

Mówi legenda ich, iż w przestworach oceanu pędzą dwie fale, wydźwignięte przez księżyc i słońce.

Dwa wielkie bałwany, zrazu samoistne, a wnet w tęsamą jedność i masę złączone, nie rozstają się ze sobą w biegu dookoła globu, ze wschodu dążąc na zachód, czyli wbrew ruchowi ziemskiego koliska.

Nów księżyca, w tymsamym do nas tkwiący kierunku, co słońce, dźwiga z oceanu dwie fale i tworzy przypływ wód żywych, czyli syzygiów, czyli złośliwy, czyli zzieleniały.

Wielkie wyżyny stromych skał doznają napaści wód, a dalekie płaskie okolice stają się dnem oceanu.

Podczas pełni, gdy tarcza nocnej Seleny, całkowicie oświetlona, znajdzie się względem słońca na zupełnie przeciwległym biegunie, powstaje również przypływ syzygjalny, skoro działanie dwu niebieskich ciał z dwu stron globu sprawuje jego podźwignienie.

Znając drogę ziemi w przestworach, badacze niebios i badacze ziemi mogą, jak bogowie, przewidzieć przyszłe wahania się fal, mogą wyrysować drogę ich, krzywą dla przyszłych wieków, które kiedyś nadpłyną.

Lecz wichry, zawsze niestałe, i zmieniająca się nierówność dna w głębi morza, plącze ich boski rachunek.

Skądże się bierze prąd zachodni, rzeka stała w wielkiem morzu bałtyckiem, szor, przebiegający wzdłuż helskiego wybrzeża?

Czy tylko wiatry zachodnie wpływają na jego powstanie?

Wszak bełta masy wód słodkich, przez wielkie

rzeki z lądu wyniesione, i nasyca solą oceanów odległych to niegdyś słodkowode jezioro.

Może w wielkim basenie wód południa, którego oceany rozliczne są jeno gałęziami, mieści się kołyska tego ruchu?

Może to aż tam ku słońcu i ku tarczy księżyca wyciąga się garb wodny, który później niestrzymanie pomyka, żeby się o brzegi Ameryki, wygrzane w upałach obijać, dzwonić w zimne kolosy skandynawskie i podnosić obrus wodny w fiordach?

Na wybrzeżach francuskich i wysp Wielkiej Brytanii przypływ nadbiega z południowego śródmorza, a w swym ruchu wzdłuż brzegów wstrzymuje się nieodmiennie według pierwotnych poruszeń, jakie sobie wytworzył wpośród osierdzia oceanów przez przyciąganie księżyca i słońca.

Na morzu Północnem, w pobliżu Pas de Calais istnieją okręgi równowagi żywej i martwej wody, jakgdyby czopy nieruchome, na których zawisają ruchome wrótnie przypływów.

Tu wody wahają się wśród wybrzeży Holandyi i Anglii, zależnie od prądów atmosfery, biegów morskich i ruchu ciał niebieskich.

Tam to schodzą się dwa przypływy, — jeden dążący z Atlantyku, drugi przybywający z Morza Północy, a w miejscu ich spotkania wzniesienie się wody jednego metra nie przekracza.

Wahania się przypływów i odpływów złączone są ze zmiennemi prądami, które zachowują się taksamo, jak przypływ i odpływ.

Zjawisko to widać najlepiej u ujścia rzek lądowych o wielkiej masie słodkiej wody.

Prądy, które się wytwarzają w cieśninach z racyi różnicy poziomów nabierają siły olbrzymiej przez swoje zmiany porywcze, przez zakręty i wiry.

Są to najniebezpieczniejsi szybkobiegacze oceanu.

Istnieją straszliwe wąwozy, gdzie woda żywa i odpływ odwrotny, wciśnięte między szeregi pniów podwodnych, pędzą ze straszliwą szybkością.

Same ich nazwy, — jak nazwa «Klęski», — wskazują na dzieje męstwa człowieka, szukającego swej potęgi na tych drogach stracenia.

Na zachodniem Szkocji wybrzeżu istnieje przesmyk morski Great-Gulf, w którym szybkość prądu przewyższa najbystrzejsze górskie potoki, lecące z wyżyn w przepaście w wodospadach, rzutach, i skokach.

Różnica poziomów obrusów wodnych, wskutek starcia się prądów i przypływów, wytwarza zakręty i leje, w których wirowanie połyka ludzkie okręty.

Czy przez Sund, Kattegat, Skagerrak nie dąży zdala jakiś strumień odbity tych wirów?

Istnieje tam próg podwodny płycizn, piachów i skał, lecz nurt słononośny w głębi sześćdziesięciu metrów idzie tamtędy z oceanów.

Dąży w nim ku wschodowi dorsz, skarlała pomuchla, żyjąca na wielkiej głębi w poszukiwaniu soli swej wielkiej morskiej ojczyzny, i warczy kur, istna nietota wielkich oceanów, zwyrodniały dyabeł morski.

Zdala idzie podspodnia rzeka, niosąc oprócz mułów i piasków bezcenny dar ciężkiej soli.

Idzie dnem, wodną ciemnicą, powiększając swą

szybkość w miarę wielkiej głębiny i zwalniając ją na snadziznach.

*

Rzeko w morzu, która zasób soli, z gorzkich i słonych okręgów oceanu przynosisz na pogranicze wód niemal rzecznych płytkiej puckiej laguny, gdzie pluskają się słodkowode ryby, — bądź pozdrowiona!

Czekają cię na piaskach helskiego wybrzeża stęsknione stopki dzieci, — chłopców i dziewczynek, — nadzieja plemienia, któremu zbójecka napaść sąsiadów przez tyle lat wydzierała nietylko wolność, lecz zdrowie.

Chlustaj, o potężna, ostremi pianami w te małe golenie i piersi!

Wytracaj siedliska zarazy, a czystym wichrem, który nosisz jako żywioł tworzący, napychaj tlenu w płuca wąskie i małe!

Gdybyż to mieć ręce na pół Polski długie!

Gdybyż to mieć siłę Wyrwidęba i wydzierać z jej lasów conajzdrowsze drzewa!

Gdyby pobudować tysiąc baraków wzdłuż piasecznic Helu, na gołem ostrzu jej miecza!

Gdybyż to wysypywać rok rocznie tysiąc tysięcy dzieci, skarlałych w miast zaułkach, w proletaryackich piwnicach, znad ścieków i kanałów, gdzie się ciałka nieskalane zakażają zarazami i zbrodniami łotrów starych.

Lecz nie mam rąk na pół Polski długich i nie mam siły Wyrwidęba.

Niema w Polsce siekiery, któraby w takim celu jej dostałe drzewa ścinała.

Płyną polskie puszcze za to morze dalekie.

Muszę patrzeć, jak pycha bogaczów, spryt kanalii i dorobkiewiczów egoizm, wszystko w Polsce zamieniając na kawał, po staremu wzdłuż i wszerz [illegible] bija się i hula.

Rzeko morska!

Nasza sprawa, — twojej pracy wieczystej, twojej siły niewyczerpanej przenigdy i mojego utesknienia za sprawą mej duszy — wciąż czek[illegible] czeka...

*

Gdy po nocy wietrznej i dżdżystej nastanie cichy i pogodny poranek, a fale nie skaczą już z szumem na płaskie wybrzeża, zostają w białych piaskach zalewiska błękitne, smugi wody zapomnianej, każda oddzielona od bujnego wciąż morza wygładzoną mierzeją.

Nad temi jeziorkami słonemi siedzą rzędem nieruchome małe mewy, szare, niedawno opierzone figurki, ni to kuleczki posrebrzane i lśniące.

Przed nimi, po drugiej stronie smugi przewodniczą młodocianemu społeczeństwu ojcowie, czy też matki tego świata, skoro, według nazwy osobnika, winienby tam panować ustrój matryarchalny.

Za zbliżeniem się człowieka stare mewy z krzykiem wielkim zrywają się do lotu i, rozbiegłszy się na wsze strony, znikają w błękitnych rozłogach.

Młode, jeszcze widać, nie wdrożone w dzieło

napaści i zabójstwa, rządzące żywotem istot ziemi, niewiele sobie robią ze złowieszczej postaci.

Lecz daleki krzyk rodzicielski daje rozkaz i wskazówkę ucieczki.

Zrywają się tedy, jak jedna, uczennice posłuszne praw, rządzących wszechstworzeniem.

Pierzchają w jasne powietrze, krążą, migając nieskalaną białością cudnych skrzydeł i piersi, a uciekają na wsze strony.

Tak niegdyś na pierwotnym nagim piasku półwyspu czuwał nad losem potomstwa drugi zkolei gromadzki zbiór osadników.

Nie pociągało go na te morskie wysypiska i wiatrów wydmuchy nic innego, tylko nadzieja rabunku.

Bezpłodne i bezdrzewne, w zimie omarznięte od lodów, na wiosnę i w jesieni mgłami grubemi osnute, postokroć przewiane od nawalnicy z zachodu, nie pociągało niczem innem.

Zbójca morski był tu osadnikiem najpierwszym.

Nad głębią, wyoraną przez prądy zachodnie, przesuwały się obok pierwotnej mielizny okręty wynicsłe, dążące z ziemi Prusów i Rusów do ziemi Waregów i Pomorzan.

Pod wydętemi żaglami mocne jodłowe korabie niosły z Rany, ze Szczecina i Kamina tysiąc tysięcy przedmiotów i skarbów, które zapełniały sen głodnego i nagiego barbarzyńcy.

Odosobniona od świata, niedostępna i naga wyspa na morzu stanowiła ponętę przez swą zupełną pustynność, ażeby z niej uczynić schronisko, czatownię i miejsce wypadu.

Przebywszy wpław cieśniny, na wybrzeżu zachylonem od wiatru, ubogi przychodzień, wygnaniec, odszczepieniec ludzkiej gminy, czynił sobie noclegowisko i domostwo z trzciny, chrustu i łupu, który morze wypluwa.

Na wzór sosny dzisiejszej, która dla swych schłostanych gałęzi w piasku szuka schronienia przed zachodniemi podmuchy, zdrętwiały od zimna wędrowiec wygrzebywał w zwiewnej dunie ziemiankę.

Ta ziemia, którą morze z siebie wygnało, a wiatr z miejsca na miejsce przepędzał, nie mogła swemi mchami pożywić lądu wyrzutka, więc się musiał jąć pracy.

Czatował z długą w ręku sulicą na morświnie, na delfiny, o pysku wydłużonym i spłaszczonym w podobiznę dzioba kaczego, gdy przez prądy zachodnie przygnane, wesoło się pluskały w błękitnych falach nadbrzeża, a nadobnemi ruchami wyrzucały się z wody.

Gdy zimą smagał wyspę wiatr północny, a gruba pawęż lodu brzegi kryła, gdy kra spiętrzona, utworzywszy zwały lśniące, osadzała je na piasku, podchodził szare, płetwonogie, bezuche morskie cielęta, foki o krótkich kielcach, skoro do swej dawnej bezpiecznej przystani docierały, żeby się na słońcu wylegiwać.

Zabijał je niespodzianym pociskiem swojej straszliwej procy kamiennej.

Opijał się wówczas ich tłuszczem, okrywał swą nagość ich piękną, lśniącą skórą i pożerał ich mięso uprażone na ogniu.

W dobie letniej nie mogły zaspokoić jego głodu

ryby, które w falach ledwie-słonych na Małem Morzu widywał, gdy się na dnie i u brzegów przewijały.

Najprzedziwniejsze, rozkosznie piękne ich kształty, przerozmaite ich postaci, wznoszenie się samochcąc i tajemnicze opadanie, krążenie w toni, skoki nagłe, rzuty i nieruchome w miejscu trwanie na podobieństwo kani w niebie, — ich poloty, wykręty, krygi i tańce były dlań niedosięgłe, wskutek braku odpowiedniego narzędzia napaści.

Żyły tedy i barwiły się przed jego chciwemi oczyma w Małem Morzu — ostrożny i płochliwy okuń, tłusty karp, jazgarz, sandacz, ukleja, dążąca w maju ku brzegom, miętus śliski i nie dający się dłonią ująć, karaś, pląsająca płoć, minog rzeczny, leszcz, lin, piskorz, sum, zbój wodny szczupak i piękna brzona, czyli sieja.

Po drugiej stronie wyspy przypływały w wielkich falach majowych śledzie, w marcu i na jesieni szły ku brzegom łososie, a w zimie sielawki.

Tuliły do przeczystego dna swą brodawkowatą powierzchnię czworakie rodzaje płastugów — bańtki, czyli małe flądrki, stornie, czyli znaczne flądry, limandy i turboty z oczyma osadzonemi z lewej strony płaskiego ich ciała.

Pławiły się w tych wodach morskie zające i śpiczastonose, tarczami kościanemi pokryte, ciemnobłękitne, drapieżne, i łakome jesiotry, które wiosenną porą, pospołu z łososiami, niosły się pochodami ku Wiśle.

Czujny strażnik wybrzeża niemało zużył trudu dla przerwania ruchu wdzięcznego, dla skrócenia żywota, dla pożarcia miazgi tych wody mieszkańców, na ogniu spalonej.

Czatował na wielkie węgorze, albo nieruchome szczupaki, leżąc długo piersiami na tafli lodowej, ażeby nieomylnem uderzeniem zaostrzonej osęki, bodorem celnym je przebić.

Wywabiał je po nocy z dna, z kryjówek, oszukując i prowadząc ku brzegom zapomocą blasku pochodni i płonącego łuczywa.

Ciągnęły zwiedzione w głupocie swej świętej i wchodziły w więcierze wiklowe, w chytre żaki.

Splatał bowiem pierwotną sieć z wiklów, osadzał ją na stroiszu, czyli trzonku, lub podstępnie zastawiał.

Wypalał węgla zarzewiem w pniaku sosnowym, zwalonym przez wichry, rdzeń drzewny i czynił zeń podobiznę pławaczki.

Puszczał się w owej łodzi pierwotnej na wody spokojne, krótką paczyną z prawej i lewej strony drzewnego koryta umiejętnie wyrtając.

Lecz niedaleko od brzegu mógł odbić.

Zbadał wszakże caliznę, wychyloną już z wody i zaczajone pod falą wzburzoną osuchy, wypatrzył i wymierzył, gdzie w wierzchołku przylądka haki są najzdradliwsze dla brzucha okrętu, gdzie czatują istne wąwozy zalewisk między łachą a łachą.

Gdy w ciemną noc listopada morze poczęło ze swej głębi i dali wydawać najbardziej ponure łoskoty i ryki, gdy od niestrzymanej potęgi huraganu wyspa drżeć poczęła w posadach, skoki spiętrzonych bałwanów przesadzały wały wysokie, ryły jamy, pruły

brzegi i nowe w międzymorzu wybijały wąwozy, a siwy, w swej straszliwości przerazliwy żywioł morski wokoło suszę obiegał, — człowiek na wyspie rozpalał nad zdradzieckiemi pułapkami wielkie ognie, bujne stosy na najwyższych wzniesieniach.

Dawał nibyto ratownicze i zbawcze sygnały braciom ludziom, których wielkie denegi z miejsca na miejsce ponad głębiną ciskały.

Zdarzało się, iż sternik na korabiu, burzą szaloną miotany, zawierzył ludzkiemu pobratymcowi na suszy.

Nie wiedział, iż czeka nań u wybrzeża schowanego w ciemności, bardziej złowieszcza zasadzka, niźli burzy szaleństwo w otchłaniach, — iż się gotuje do skoku nienawiść, chciwość i zemsta, sroższa od najzacieklejszego podmuchu.

Gdy statek zwiedziony, a zwabiony do brzegu fałszywemi ogniami, ni to ryba bezmyślna, worał się w piachy, stanął w biegu, albo padał na boku, — pod pozorem ratunku czerń półzwierząt wdzierała się na podkład, od żądzy dysząca.

Z mroku mocy migotały wściekłe oczy i maczuga wyślizgana w napaściach, — a do wichrowego poświstu dołączał się świst oszczepu ostrym nabitego krzemieniem.

To też żeglarz waregski i brytyjski nadawał temu miejscu w swojej mowie nazwę «Hell» — czyli Piekło.

*

Oto co głosi stara helska kronika, przechowywana doniedawna w protestanckim kościele na Helu, z której tylko wyciąg pozostał:

Książe Wartysław Pierwszy w roku 1128 założył miasto na Helu w miejscu, gdzie stały nędzne chaty, zamieszkane przez lud dziki.

Na pamiątkę swej małżonki, która nosiła imię Hela, nazwał to miejsce Helą.

Zbudował tu kościół parafialny pod wezwaniem świętego Wojciecha, a miejsce to zasiedlił osadnikami z Pomorza, którzy się rybołóstwem trudnili.

Księżna darowała do tego kościoła kielich srebrny z rytym na nim napisem.

Gdy Wartysław, pierwszy książe chrześciański, umarł w roku 1136, a brat jego, książe Ratiborus władzę księcia osiągnął, zbudował w temże miejscu w roku 1142 kościół, który nazwał świętego Piotra imieniem.

A poświęcił ów kościół biskup imieniem Adalbertus.

Waldemar Drugi, król duński, prowadził wielką wojnę z książętami Pomorza i zagarnął ich miasta, aż do miasta Hela nad morzem.

Tyle wieści stara helska kronika.

Książę Wartysław Pierwszy, idący z rodu Kruka, syna Gryna, króla Ranów, księcia Obodrytów i Lutyków, a z matki Sławiny, córki Swantybora pomorskiego, jest pierwszym księciem Pomorza, znanym w dziejach.

Aż do jego czasów ziemie te, zdobyte przez Bolesława Chrobrego, podlegały Polsce Piastów.

Pomorze nad Parsantą i Odrą, w czasie zaburzeń po śmierci wielkiego budownika, wyłamało się spod polskiej przewagi.

Wartysław ze Szczecina władał obszerną krainą po obu brzegach Odry, rozciągał swe panowanie nad Wkranami, tudzież nad wyspami Uznoim i Wolin.

Stolicę swoją miał w Szczecinie, odkąd Białogard nad Parsantą, dwakroć przez Bolesława Krzywoustego zdobyty, królowi polskiemu podlegał.

Książę Wartysław, dzieckiem jeszcze ochrzczony, pomagał do zaprowadzenia na Pomorzu chrześciaństwa.

Jednak w jego stolicy złoty posąg Trygława był narodowem bożyszczem i cześć powszechną odbierał.

Od dzieciństwa Bolesław Krzywousty dobijał się o panowanie nad morzem.

Na czele swojej jazdy w ciągu pięciu dni, pięciu nocy przebiegał wkroś lasów i moczarów bezdrzewnych, żeby Kołobrzeg opanować.

Wtedy, — jak mówi pierwszy polski, a znakomity po wsze czasy, pisarz jego epopei, — całe plemię barbarzyńców północy potężnie się przeraziło, a sława Bolesława najszerzej i najdalej rozbrzmiewała.

Wtedy również w śpiew wojenny przepłynęło przysłowie powszechne, stwierdzenie zapomocą melodyjnego słów brzmienia prawdziwości stanu rzeczy.

A owa «*cantilena*» wojenna, w przekładzie na łaciński język pisarza, głosiła:

«Pisces salsos et fetentes apportabant alii,
Palpitantes et recentes nunc apportant filii,
Civitates invadebant patres nostri primitus,
Hi procellas non verantur neque maris sonitus.
Agitabant patres nostri cervos, apros, capreas,
Hi venantur monstra maris et opes aequoreas».

Powtóre Bolesław posiadł Białogard i Kołobrzeg, a rok rocznie powtarzając swe wyprawy, zdobył Szczecin, dotarł aż do Moryckiego jeziora, a wreszcie Wolin opanował.

Książę Wartysław na Szczecinie, który zdradził po wielekroć króla polskiego i walki z nim toczył, musiał wreszcie uznać jego zwierzchnictwo.

Gdy święty Otton bamberski, z Gniezna, od grobu świętego Wojciecha przez Bolesława Krzywoustego wyprawiony w towarzystwie kapelana królewskiego Wojciecha, rzeźbierza Leoparda i trzeciego kapłana o nieznanem imieniu, wszedł w puszczę i przedzierał się szlakiem, znaczonym na drzewach za poprzednich wypraw królewskich, — pod Starogardem spotkał księcia pomorskiego Wartysława, który go ze czcią przyjął na czele swych wojowników.

Przy czynnej pomocy Wartysława, święty Otton dokonał dzieła nawrócenia Pomorzan w grodach Pirycu, Kaminie, Wolinie i Szczecinie.

Cztery przedziwnej budowy szczecińskie kontyny zburzone zostały, a złoty posąg Trygława zwalony.

Rozdzielone zostały między tłuszczę niedaw-

nych czcicieli bożyszcza drogie kamienie świątyni, ozdobne oręże, rogi rzeźbione, złoto i srebro.

Trzy głowy złote posągu odesłano do Rzymu dla papieża Honorjusza Drugiego.

Na miejscu głównej bożnicy stanął pośrodku Szczecina kościół pod wezwaniem świętego Wojciecha.

Drugi kościół pod wezwaniem Piotra świętego zaczęto budować za murami pomorskiej stolicy.

Lud nawrócił się ku chrześciaństwu, a sam książę Wartysław pod wpływem trzech misyonarzów odprawił swe dwadzieścia cztery żony i przy jednej pozostał, która była chrześcianką, szczególniej biskupowi przychylną.

(Była to może owa Hela, która kielich do kościoła na Helu w darze dała...

Może to «rzeźbiarz Leopard» z naczyń srebrnych kontyny kielich nowy wytopił i napis wokoło niego wyrył...)

Po naradzie króla Bolesława Krzywoustego z księciem Wartysławem i biskupem Ottonem na stolicę biskupią Pomorza powołany został towarzysz wyprawy misyjnej, Polak Wojciech, kapelan królewski, Adalbertus.

Lecz dopiero w roku 1140 nowy biskup zasiadł na swej stolicy w Wolinie.

Gdy zaś książę Wartysław został w Stołpie nad Pieną w roku 1136 przez skrytobójcę zabity, — brat jego, książę Ratibor, ożeniony z córką Bolesława Krzywoustego — Przybysławą — objął władzę nad dziedziną.

Jeszcze za żywota Wartysława ten to książę Ratibor, «zebrawszy koło siebie poganów, krążył po wodach Bałtyku, jakoby król morski pośród floty swej, złożonej z pięciuset korabiów.

Na każdym zaś korabiu miał po czterdziestu czterech ludzi i dwa konie».

Podobno nie bez wiedzy króla polskiego przedsięwziął wyprawę do Konghelі, bogatego miasta szwedzkiego.

W roku 1135 miasto to szturmem zdobył i z ogromnemi łupami do domu powrócił.

Tak o nim głoszą duńskie sagi.

Ci to książęta ze Szczecina, macierzy grodów pomorskich, Wartysław i Ratibor, jak świadczy helska kronika, zbudowali najprzód kaplicę, a później kościół w Starym Helu.

Kaplica nosi imię świętego Wojciecha męczennika, taksamo, jak pierwsza kaplica na rynku w Szczecinie.

Kościół, w roku 1142 przez Ratibora na Helu zbudowany, jest pod świętego Piotra wezwaniem, taksamo, jak pierwszy kościół pod murami miasta Szczecina.

Poświęcił zaś ów kościół biskup, imieniem Adalbertus, czyli Wojciech, kapelan króla Bolesława i uczestnik wyprawy w celu nawrócenia Pomorza.

Kielich, darowany przez żonę Wartysława do kościoła na Helu, był doniedawna przechowywany w skarbcu obecnego kościoła, lecz, wywieziony do Gdańska, nie wiadomo gdzie jest teraz.

★

Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew, książę saski, zdeptali już byli ziemie Słowian za Odrą.

Polska, rozdrobniona na cztery dzielnice, straciła dawną potęgę.

Daremnie opierał się naporowi niemieckiemu Nikłot, książę zaodrzański, z rodu tegoż Kruta, syna Gryna, króla Ranów.

Przez lat trzydzieści nadaremnie walczył ze Lwem i Niedźwiedziem, albo usiłował ich podejść oszustwem, zdradą, udaniem.

Zamki tego bohatera i ostatniego poganina, Iłowo, Weligrad czyli Meklemburg, Zwierzyn czyli Szweryn, Dąbin i Worle na pograniczu ziemi Chyżanów wydarte mu zostały przez zastępy Lwa i Niedźwiedzia.

Wreszcie sam Nikłot na polu bitwy mężnie poległ.

Lud słowiański musiał uchodzić na wschód, na wschód przed zastępami, okutemi w żelazo, pod których stopą ziemia drżała.

Tak mówi Helmold, kronikarz niemiecki, chwalca Albrechta Niedźwiedzia: «Bóg hojnie księcia naszego i naszych książąt zwycięstwami obdarzył, — Słowianie wszędzie wytępieni zostali, lub wypędzeni, a od granic oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które ziemię Słowian posiadły, pobudowały miasta i kościoły i w bogactwa nad wszelką miarę urosły».

Synowie Nikłota Przybysław Pierwszy, książę Obodrytów, i Wratysław, książę Chyżanów, musieli również uchodzić dalej a dalej.

Gdy zaś książę Wratysław, ujęty w niewolę, został z rokazu Henryka Lwa, jak pies powieszony, Przybysław nie miał już siły najeźdźcom się opierać.

W czasie wojny krzyżowej, wszczętej przeciwko Słowianom szczecińskim przez Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa, przez opata korbejskiego Wibalda, który chciał do swego opactwa wyspę Ranę, czyli Rugję przyłączyć, — przez biskupa werdeńskiego Dytmara i innych dostojników kościoła, — przez królewiczów duńskich Swena i Knuta, — gdy wszystkie te ludy północy w sile niezmierzonej obległy twierdzę Dąbin nad Zwierzyńskiem jeziorem, — książę Ratibor szczeciński, brat Wartysława, wspólnie z biskupem Wojciechem bronił się przeciw Niemcom i Danom.

Biskup Woliński Wojciech, jeden z pierwszych apostołów Pomorza, wystawił na wałach obleganego Szczecina krzyż przeciwko krzyżowcom, niosącym jakoby chrześciaństwo w te kraje.

A wyszedłszy do obozu nieprzyjaciół wyrzucał biskupom, ciągnącym z książętami na wyprawę wojenną, iż zapomocą krwi i grabieży przychodzą niby to nawracać — dawno nawróconą krainę.

Uchodząc przed naporem niemieckim, Słowianie dosięgali brzegów morza, uchodzili w puszcze, na błota i piaski bezpłodne, kryli się w dalekich przylądkach i niedosięgłych międzymorzach.

*

Król Danji, Waldemar Drugi, «Zwycięsca», który pokonał zaodrzańskie Pomorze, zdobył wyspiar-

skie państwo Ranów, ściął i spalił posąg Swantewita i złamał chorągiew niepodległości, «stanicę», zajął Gdańsk, Prusy, Estonję i całe morskie wybrzeże, aż po fińską zatokę, — nie ominął starego miasta na Helu.

W tysiąc okrętów i sześćdziesiąt siedm tysięcy wojownika zajął Rygę, zburzył Lyndanissę i na tem miejscu założył miasto Rewel, przebiegł całe Inflanty i posiadł daleką wyspę Oesel.

Mieszkańcy miasta na Helu płacili daninę Duńczykom i niezwyciężonemu ich wodzowi.

Lecz Waldemar Drugi, porwany i uwięziony przez księcia Henryka ze Szwerynu, zrzekł się swych praw do Pomorza.

Wciąż jednak, aż do śmierci Waldemara Drugiego synowie Wartysława Pierwszego, Kazimierz Pierwszy i Bogusław Pierwszy, ożeniony z Anastazyą, córką Mieszka Starego, byli wasalami duńskimi.

Po śmierci Waldemara Drugiego markgrafowie Jan i Otto Trzeci otrzymali od cesarza Fryderyka Drugiego wszelkie prawa nad Pomorzem.

Rybacy, zarzucający swe sieci, wokół starego miasta na Helu zmienili tedy panów.

Komuinnemu mieli składać daninę ze swojej pracy na morzu i ze swej pracy na suszy.

*

Oto co głosi jedna z najstarszych wyspiarskich powieści.

Na początku XIII stulecia Eryk Czwarty, król

duński, zwany «Plovpennig, czyli «Szeląg od pługa», syn Waldemara Drugiego, prowadził wojny zaciekłe.

Studyując za lat swych młodzieńczych zagranicą nauki, w italskiej Bononji i w Paryżu, — jak głosi kronika, — książę Eryk zaprzyjaźnił się i pobratał z Sinibaldem Fiescho, synem Hugona, hrabiego Lawonii, genueńskim magnatem, znakomitym wnet prawnikiem, noszącym dla wielkiego znawstwa kanonów, miano *pater et organum veritatis,* który zczasem pod imieniem Inocentego Czwartego zasiadł na tronie papieży.

(Ten to znakomity znawca kanonów, *pater et organum veritatis,* za opłatą daniny na rzecz Stolicy Apostolskiej, zatwierdził Krzyżaków we władaniu Ziemią Chełmińską i darował im kraje, które na Prusakach zdobędą).

Posiadłszy część władzy królewskiej nad Danią północną, jeszcze za życia Waldemara Drugiego, Eryk zwany dla podatku nałożonego na rolników «Szelągiem od pługa», wysłał poselstwo do swego ongi przyjaciela, papieża Inocentego Czwartego z prośbą o wszczęcie dochodzeń przeciwko dwu duńskim biskupom.

Papież Inocenty, uwikłany w srogie walki orężne z cesarzem Fryderykiem, nie lekceważył przyjaciela, siedzącego na tronie północy.

Posłał do Danii legata w osobie minoryty, nazwiskiem Sedensa, z darami składającemi się ze szczątków krzyża świętego i z czaszki świętej Barbary.

W srebrnej szkatule, rytym ozdobionej napisem, mieściła się czaszka męczennicy.

Legat, przybywszy do Danii, zastał tam srogie wojny, toczące się między królem Jutlandyi Erykiem i starszym jego bratem Abelem, panującym w Szlezwigu.

Nadto mór pustoszył tę krainę tak dalece, iż król Eryk na jednę z wysp odległych się schronił.

Legat, wsiadłszy na okręt, podążył za królem Erykiem.

Skoro tylko odbił od brzegu, straszna burza poczęła nosić statek w dzikiem morzu północnem, a wreszcie po dniach wielu wyrzuciła go na wybrzeże jakiejś ziemi, którą — *insula Helae* — nazywa kronika.

Czatujący w tem miejscu rozbójnicy, na mocy swego prawa łupu, obdarli ze wszelkiego mienia rozbitków, porwali i uwięzili legata, a dary papieża dla króla Eryka zrabowali.

Tak to cudne oblicze wielkiej męczennicy egipskiej, dziewicze czoło świętej panny, Barbary, która śmierć samą z ręki rodzonego ojca przeniosła nad złamanie wiary swego serca świętości, zajaśniało w blasku ogniów, przed oczyma pogan północy.

Głowa samotnicy, nazwanej imieniem Barbara, — czyli obca wśród swoich, wśród najbardziej rodzonych, — głowa zamkniętej w wiecznej wieży nietylko materyalnego więzienia, lecz zamkniętej w wieży zupełnej ducha samotni, upadła znowu pod nogi barbarzyńców.

Za życia obnażona w niewysłowionej piękności swej cielesnej, bita, kaleczona, szarpana żelaznemi

szponami, po wyrwaniu piersi, popędzana ku pośmiechu miasta Heliopolis, — teraz znowu rzucona została na łaskę dzikich chłopów i grubych siepaczów.

Któż to wie, — dla tego może, iż zanadto była uczczona przez drogi metal okucia głowy świętej, przez piękne emalie wizerunku i górne słowa pochwalnych napisów, — dlatego może, iż stała się darem potężnego papieża dla króla, — ona, co była samą pokorą i samą jeno nieskazitelną, nagą cnotą...

Lecz jako niegdyś, gdy w trwodze dziewczyńskiej przed gniewem i zemstą własnego ojca uciekała, kamienna góra, z wielkich złożona głazów, rozstąpiła się była i czulej, niż matka rodzona w łono ją swoje przyjęła, a pilny i pamiętny jej losu anioł karmił ją we wnętrznościach ziemi niebieskiem pożywieniem, tako i wówczas się stało.

Bardziej twarde od skał, serca rybaków i piratów międzymorza, w wichrze i burzy wychowane, karmione trwogami zabobonów Trygława i srogiemi biczami praw panów dalekich, nieznanych, osunęły się, zadrżały i otwarły.

I jako niegdyś, gdy pod ojcowski miecz mężną głowę skłaniała, piorun śmiercią poraził kamienne ojca serce, tako i teraz piorun strachu przeszył nieulękłe serca wyspiarzy.

Patrzyli się w zdumieniu na lica malowane, jakich nigdy jeszcze nie widzieli i na milczenie białej kości czoła.

A potem, czuciem tajemniczem popchnięci, skoczyli w łódź, nastawili szaty żaglów i na spienionych denegach pobieżeli do księcia, do Swantopołka we

Gdańsku, trzymając wysoko w ręku a ponad głowami puszkę przeraźliwą.

*

Świętopełk, książę gdański, zrozumiał znaczenie zdobyczy i potrafił ją uczcić.

Zamknął szkatułę z głową świętej Barbary w swojem niezdobytem zamczysku, w komorze najtajniejszej Sartawic.

Świętopełk, syn Mszczuja i Zwienisławy, wnuczki Ratibora, (który na Helu kościół świętego Piotra zbudował), po wygaśnięciu rodu Ratiborowiców, opanował ich dziedzinę orężem, czy podstępem.

Na wschód od tej dziedziny Ratiborowiców całe gdańskie Pomorze należało do Polski.

Zarządzali niem książęta, spokrewnieni z władcami zachodniego Pomorza, uznający nad sobą zwierzchnictwo Polaków.

Lecz ojciec Świętopełka Mszczuj Pierwszy, dziad Sambor i pradziad Subisław pisali się książętami gdańskimi i rządzili samodzielne nadmorską krainą.

Świętopełk, zagarnąwszy dziedzictwo Ratiborowiców, Słupsk, Sławno, Białogard i całe pobrzeże, stał się również panem na Helu.

Podzieliwszy się z braćmi, Raciborowi oddał Białogród z całą ziemią, Samborowi Lubieszew, Tczew i Starogard, a sam objął Gdańsk, Puck, Świecie, Nowe, Wyszogród.

Gdy bracia przeciw niemu poczęli spiskować, pobił ich i zajął ich udziały.

Wyłamał się spod władzy Leszka Białego i stał się panem niezależnym, «królem Pomorzanów».

Leszka w Gąsawie zabił.

Zrazu sojusznik krzyżackiego Zakonu w dziele ujarzmienia i podboju zawiślańskich Prusaków, wnet, poznawszy się na wartości przybyszów, stał się najzacieklejszym ich wrogiem.

Osadził ludem zbrojnym swoje zamki nad Wisłą, chwytał statki krzyżackie, żywność łupił, a Krzyżaków i ich służbę bez litości mordował.

Rycerze krzyżowi z Elbląga i Balgi, siedzący na swych zamkach wśród ludu wrogiego, głód i nędzę cierpieli.

Nadaremnie papież wyprawił legata, Jakóba Pantaleona, późniejszego papieża Urbana Czwartego, żeby skłonić gdańskiego władykę do zgody z Zakonem Krzyżaków.

Lecz ani groźby legata, ani prośby nie zdołały Świętopełka ugłaskać, gdy bracia jego Racibor i Sambor nanowo spiskować z Krzyżakami zaczęli.

Podburzył ludy Pomczanii, Warmii, Natangii, Bartonii.

Ludy te, przez Krzyżaków niedawno ochrzczone, porzuciły chrześciaństwo i szły pod chorągwie Świętopełka, który przybyszów niemieckich w pień wycinać polecał.

Wszystkie zamki krzyżackie z ziemią zrównane zostały, z wyjątkiem Elbląga i Balgi.

Z Pomczanii wódz Gdański poszedł ze swemi hufcami wpoprzek Ziemi Chełmińskiej pod Chełmno, Toruń i Radzyń.

Śmiercią ginął, ktokolwiek do tych trzech zamków nie zdołał się schronić.

Legat, Wilhelm z Modeny, ogłosił krucyatę przeciwko odszczepieńcy i tyranowi północy, który szerzył apostazyę wśród ludów ochrzczonych i w jarzmo ujętych.

Rycerze krzyżowi zdobyli Startawice niespodziewaną napaścią.

Teodoryk von Bernheim, marszałek Zakonu, we czterech rycerzy i dwudziestu ośmiu pachołka w nocy naszedł zamczysko i załogę wyrąbał.

Plądrując książęce komory, zdobywcy znaleźli szkatułę, której napis wyryty zaświadczał, że się w niej relikwia bezcenna, głowa świętej Barbary znajduje.

Marszałek zostawił w Sartawicach załogę, a sam, szczupłym otoczony oddziałem, uwiózł pod płaszczem krzyżowym zdobycz ponad wszystko znaczniejszą.

W grudniową zawieję, ciemną noc, wskok popędził do Chełmna.

Lud cały, z duchowieństwem na czele wyszedł na powitanie świętości.

Wniesiono srebrną skrzynkę w procesyi do pierwszego po drodze kościoła.

Świętą Barbarę uznano za patronkę powiślańskiej krainy.

Świętopełk odbijał Sartawice wszelkiemi sposoby, podstępem, układami i szturmem.

A nie mogąc nic wskórać, nocą oblężenie po-

rzucił, przeszedł Wisłę po lodzie i przeszył Ziemię Chełmińską, pustosząc ją ogniem i mieczem.

Marszałek Teodoryk von Bernheim zebrał wszystkie swe siły, stoczył bitwę i pobił Świętopełka na głowę.

Dziewięciuset Pomorzan legło na placu porażki, — znaczne łupy i czterysta koni dostało się w ręce zwycięsców.

Świętopełk wrócił na tamten brzeg Wisły i znowu Sartawice oblegał.

Marszałek poszedł za nim po lodach wiślańskich, lecz książę spalił swój obóz i uszedł w bezludną, nadmorską krainę, przypadł na dalekiem międzymorzu, w pustkach leśnych się ukrył.

Wtedy polscy książęta, — kujawski Kazimierz, Bolesław Pobożny kaliski i wielkopolski Przemysław, — pospołu z Krzyżakami Nakło oblegli i zdobyli.

Krzyżacy spustoszyli leśną ziemię Kaszubów, szukając w niej Świętopełka, i zagarnęli zachodnie Pomorze.

Książę gdański ukorzył się przed Zakonem, wydał Krzyżakom Sartawice, a w zakład wierności, najstarszego ze swych synów, Mestwina.

Lecz skoro tylko krzyżackie załogi odeszły spod Gdańska, podburzył ludy Sudawii nanowo, pociągnął Prusaków pod swoje chorągwie i ruszył w niziny Chełmińskie, do nogi mordując mieszkańców.

Brata Racibora, który z książętami polskimi się zmawiał, do więzienia wtrącił, a całą ziemię powiślań-

ską, z wyjątkiem Chełmna, Torunia i Radzynia, spustoszył i spalił.

Berlewin, nowy marszałek Zakonu, zgromadził siły krzyżackie i uderzył w najeźdźcę.

Początkowo Krzyżacy sukces w bitwie odnieśli, lecz, rozbiegłszy się za łupami, otoczeni zostali przez zastępy Pomorzan i Prusów.

Marszałek Berlewin poległ.

Z całego wojska Krzyżaków tylko dziesięciu rycerzy zdołało ucieczką się ocalić.

Rycerze, z Torunia na pomoc przybiegłszy, zastali już pole bitwy trupami zasłane, to też sromotnie uciekli.

Świętopełk popędził za nimi i niemałą klęskę im zadał.

Wróciwszy się pod Chełmno, oblegał tę twierdzę, ażeby syna Mestwina odebrać, który tam był więziony, oraz bezcenną szkatułę z głową świętej Barbary.

Chełmno było tak wyludnione, iż biskup zachęcał dostojne niewiasty, by się łączyły z pachołkami i służbą.

Kobiety chełmińskie przywdziały były zbroje mężczyzn i wyszły na wały obronne do boju.

Komtur Chełmna i jego rycerze sekretnym sposobem, po nocy wysłali Świętopełkowica Mestwina do zamku Sartawic.

Ojciec powziął tę o synu wiadomość i we dwa tysiące żołnierza poszedł śladem synowskim, niszcząc wszystko po drodze, do ostatniej przyciesi i do ostatniego człowieka.

Tymczasem przy obleganiu twierdzy Chełmna poniósł klęskę i całą prawie siłę swoją utracił.

Rycerze zakonni wysłali Mestwina z tej ziemi zakrwawionej na dwór księcia Austryi, żeby go ojciec nie dostał.

Potrzecie Świętopełk podburzył Prusaków, splądrował Kujawy, mszcząc się na księciu Kazimierzu za Nakło.

W widłach starego i nowego Wisły koryta, poniżej zamku w Gniewie, pobudował zamek Zantyr w celu powstrzymowania rzecznych transportów krzyżackich.

Na lewym brzegu Wisły, niżej Chełmna, Świecie, jako miejsce swego wypadu, obwałował.

Lecz nowe poniósłszy porażki, powielekroć doznawszy klęsk wojennych, niestrudzony wojownik znowu prosił o pokój.

Opizzoni, opat Messyny, legat papieski zdjął zeń klątwę, gdy skruszony pokutnik zerwał wszelkie z poganami stosunki i obiecał pomagać Krzyżakom w dziele wytępienia bałwochwalców.

Obłudnik przyobiecał wszelkie wypełnić żądania, byleby mu Zakon wydał syna i zwrócił relikwie.

Lecz ledwie pokój ów został zawarty, po raz czwarty zbuntował Prusaków, wtargnął w posiadłości krzyżackie od strony Gołubia nad Drwęcą i mordował bez litości pogłowie.

Spustoszył potem Kujawy i zabrał wielkie łupy, które jednak mistrz prowincyi mu wydarł.

Po zawarciu nowego pokoju w połowie trzyna-

stego stulecia Świętopełk nową, piątą z rzędu wojnę rozpoczął.

W ciągu dwunastu lat blisko, czasu władania wielkiego mistrza Zakonu Henryka von Hochenlohe, Świętopełk pomorski wiódł nieustanną i straszliwą walkę z Zakonem.

A jednem z najzawziętszych jego haseł, jednym z celów, jedną z przyczyn rzezi najkrwawszych, łupiestw najbezlitośniejszych, pożogi bestyalskiej było posiadanie nanowo relikwii świętej Barbary, niegdyś na Helu wybrzeże przez burzę rzuconej.

Tak to czoło dziewicze, najświętszemi, najdalszemi od zbrodni tego świata nasycone myślami, znalazło się pośród mieczów skrwawionych i bezlitosnych toporów, nad potokami łez niedoli i w zwojach kłębów dymu, pomiędzy jękiem krzywdy i wrzaskami napaści, jako hasło rzezi dzikiej, jako zemsty okrzyk bojowy, i jako sztandar grzechu.

*

Wiele baśni przepływa pod checzy niskiemi powały o burzy nad niezgłębionem bujowiskiem.

Któż zaś wyrazić potrafi i jaka baśń odtworzyć straszliwość nocy jesiennej, wiszącej nad łodzią samotną, przez wicher miotaną w przewałach?

Któż zdoła wysławić odwagę, cierpliwość i pracę samotnego człowieka, aby się burzy nie poddać, noc przetrwać i trafić do brzegu!

Lecz i w cichy lipcowy poranek strach na rybaka czatuje u spokojnego wybrzeża.

Strach czatuje i tam nawet, wtedy nawet, gdy

rybak sieć swą chce zarzucić u płazy tego miecza morskiego, u tylców tępych przylądka, gdzie się helska, niemiecka zatoka łagodnie w głąb lądu wygina.

Skoro rybak rzuci w wody kotwicę, by łódź nad głębią nieruchomo postawić i czekać na połów w spokoju, kotwica nie ima się gruntu.

Dzwoni pazur żelazny kotwicy o kamienie podbrzeżne, o skarpy potężne, pod piaskiem w opokę wkopane, o cegły czerwone, które w głębi pod zdziarami rdzewieją.

Z dna morza rumowie czerwone i kamień ciosowy wyziera.

Lęka się serce rybaka. Niemca dziś zawziętego, Kohnkela, lub Walkowsa, i strach wielkooki ogarnia Kąkolów i Walkowców potomka.

Serce, jego niepamiętne, jak u mewy, drży przed czemś strasznem i ciemnem.

Gdy bowiem rybak ucho nastawi wśród ciszy, dochodzą go dzwonów zatopionych rozgłosy i jęki.

Dziś na tem miejscu, gdzie stary gród słowiański się wznosił, — morze dzikie się pieni.

Gdzie stały kościoły i klasztor jeszcze w siedemnastem stuleciu, okrągły wzgórek zalega, trawą bujniejszą, niż inne pokryty.

Samotna tam dzika róża oddaje nikłym swym kwiatem pozdrowienie — nikomu, — pustce, milczeniu.

Grube sosny, z gałęźmi na wschód schylonemi, szumią do wtóru morzu zgłodniałemu, które żywoty pożera, a trupy ze siebie na brzegi wyrzuca.

Nic tam nie zostało ze słowiańskiego grodzi-

szcza, które Wartysław Pierwszy w piaski wkopał, Ratibor kościołem uświetnił, a Wojciech błogosławił na żywot.

Znikło do znaku, do ostatniego kamienia osiedle słowiańskie, a powstało w oddali osiedle niemieckie za czasów panowania nad tą ziemią Krzyżaków.

Niema na to żadnego pisanego dowodu, żeby się tu tosamo dokonało, co w Gdańsku za władztwa Henryka von Plotzke.

Tylko taksamo, jak w Gdańsku, kamień na kamieniu nie został ze słowiańskiego budowania, a nowe sioło niemieckie w kwitnącym stanie powstało.

Legenda niemiecka powiada tosamo o Helu, co powiedziała po zbrodni Dominika o Gdańsku, iż mieszkańcy dobrowolnie swoje stare domostwa spalili i zniszczyli i na inne się miejsca przenieśli.

A na tem nowem miejscu pobudowawszy swe domy, już byli od tej chwili i nazawsze Niemcami.

Powiada także legenda, iż mieszkańcy Jastarni są przybyszami i przesiedleńcami z tegoż Helu.

Czemu od doskonałej zatoki, od portu wygodnego i od najbliższego dostępu do bogatego w morskie ryby przestworza, od miejsca, co się tak wygrzewa w promieniach południa, iż tu dojrzewa winograd i figa, słowiańscy rybacy odeszli dobrowolnie na północ do przesmyku bez portu, do miejsca dalekiego od wypadu na morze?

Mieszkańcy dalekiej od Helu Jastarni, leżącej za borem niemałym, zachowali swój język prastary, słowiański i wiarę owego biskupa Wojciecha, który zatopione dziś w morzu kościoły poświęcał.

Niemcy, którzy na cudzych popiołach tak dobrze, tak wygodnie, tak mądrze, tak zdrowo, tak świetnie, przezornie i pięknie budować się umieją, zabrali pod swe nowe domostwa dawnej cerkwy Wartysława ostatnie kamienie.

I nic nie chcą powiedzieć, a nawet pamiętać, jak to się dokonało, iż stare owo miasto ziemia głucha pochłonęła i morze zimne zatopiło.

Przybiegali jeno doniedawna w owo miejsce samotne, żeby się nad uroczyskiem roztkliwiać.

Wylewali swym zwyczajem sentyment nad miastem, które ich przodkowie zniweczyli.

Prozą i wierszem opiewali owe dzwony, których bicie zniemczony rybak słyszy, i drukiem usiłowali przekazać innym Niemcom nastrój jakoby użalenia się nad losem kościoła, który ich przodkowie do ostatniego kamienia na zagładę skazali.

*

Tam, gdzie za czasów niemieckich puszcza się zaczynała dla niemieckiej siedziby, na skraju wielkiego lasu helskiego, — a gdzie dziś wre i kipi najbujniejsze właśnie życie, założono niegdyś cmentarzysko dla wyrzuconych przez morze bezimiennych i nieznanych topielców.

Mieli leżeć w pustce zupełnej, w ciszy bezwzględnej, w lesie głuchym między Jastarnią i Helem.

A oto stało się, iż leżą między nowo zbudowaną stacyą kolei żelaznej, i między świetnie zbudowanemi gościnnemi domami dla rybaków wędrownych, dla Kaszubów, szukających pracy na morzu.

Nanowo otoczyło ich życie, — przyszło za nimi, do tej bezimiennych pustelni.

Pewnie, że obojętną jest sprawą dla pokonanych przez morze, dla jego ofiar bezsilnych, czy spać na dnie mulistem i być pożartym przez ryby i raki, przez gady i robactwo, — czy spać w litym piasku międzymorza, w ostępie boru głuchego, a być pożartym przez jego żaby i węże.

Lecz może matce sierocej, co w ziemi dalekiej po nocach czekała i pustki wiecznej nadaremnie prosiła się, aż do utraty ostatniej nadziei, o wieść, o znak od przepadłego syna, — lżej będzie, gdy jej sen wieszczy podpowie, iż między ludźmi spoczywa.

Może dla niej ulgą to będzie, gdy on po nocy tysiąc mil duchem przeleci, i u wezgłowia stanie, ażeby to miejsce mocą sennego marzenia pokazać, — iż nie tuła się na dnie morza.

Bo straszna to przecie myśl, dla ludzkiego rozumu i nieznośne czucie dla serca matki sierocej, iż jej syn wałęsa się na dnie morza, nie mogąc znaleźć spoczynku, miotany i targany z miejsca na miejsce przez tajemnicze i straszliwe oceanu potwory, jakoby w duszy szatana wyśnione, — przez dyabły morskie i rekiny, przez głowonogi ośmiornice, przez gruboskorupe langusty, ohydne kraby, oślizgłe mięczaki, ukwiały i jeżowce.

Przeraźliwe to dla jej serca czucie, iż to on właśnie, on jedyny, spłacać musi dług zpełna za wszystkie zbrodnie człowiecze względem mieszkańców morskiej głębiny spełnione.

To na nim samym mszczą się teraz morskie po-

twory, rozszarpując go i rwąc na sztuki, za tysiące lat podstępów, oszustw, morderstw i ćwiertowań, których człowiek na ich rodzie dokonał.

Gdy go zaś morze ze swego łona na jasne strądy wymiotło, śpi według ludzkiego obyczaju na suchego piasku pościeli i pod sosny zielonej gałęzią, którą ręką człowieka złożyła.

Bezimienny gardzina, który o słońca zachodzie ziemię suchą porzucał, powrócił oto z wyprawy.

Gwar pracy, odgłos ruchu z miejsca na miejsce, radosny krzyk życia ogłasza wokół jego łoża wiecznego zwycięstwo człowieka nad lądami suchemi i nad dzikiemi morza obszary, skoro taki jest los rodu ludzkiego na ziemi.

*

Oto co głosi jedna z rybackich wiestek na przymorzu:

Onego czasu wyjeżdżali na połów z kaszubskiego osiedla dwaj bracia rodzeni, dwaj rybacy, do tegosamego należący maszopstwa.

Mieli obadwaj mocne łodzie, uszczelnione pracowicie, z maszty, z żaglami, z kotwicą, we wszelki zaopatrzone przyrząd i statek.

Każda tedy z tych łodzi miała olinowanie należyte, ster czyli wojo, wiosła okute i nieokute paczyny, albo pojazdy, plichtę na przedzie, oporki i nożnice, pałasz boczny i korczaki, czyli stągwie do wylewania wody.

Obadwaj maszopi mieli sieci głębokie i opławne na łososie, któremi się parali od marca do świętego

Wojciecha i mieli skarpie niewody, które znowu ciskali od wiosennych roztopów aż po świętojańskie poranki.

Mieli głady i brodniki dla połowu małej rybki tobijaszka, którą się wyrzuca na przynętę węgorza, — i mieli gęstookie sieci na śledzie, oraz niewody na węgorza, któremi zaciągali od Narodzenia Panny Maryi aż do świętej Jadwigi.

Mieli także wszelkie wędy, czyli takle, do chwytania na przynętę wędrownego łososia, idącego w swoją drogę w stumetrowej głębinie.

Z tym to przyrządem puszczali się w słone morze i na bystre jego szory.

Na rybitwę małomorską wychodzili z bodorem, którym wojowali węgorze od świętego Marcina aż do Gromnic.

Mieli konopne, gdańskie, wite niewody do łowitwy na łodziach z wyrzuceniem kotwicy.

Mieli mocne brodniki, a temi znowu wygarniali piskorze i wszelką inną słodkowodą rybę od świętego Wojciecha do Świątek i od Świątek po Dominika.

Mieli również waty na raki, a wiecierze na tłustą rybę, — dargi z mosiężnemi łańcuszki na czujnego szczupaka i zwykłe wędy na węgorze.

Snadniej pewnie było obudwu braciom Kąkolom, starszemu Józefowi z przezwiskiem Marcin, — od imienia żony Maryki, — i młodszemu Janowi, z przydomkiem Litak, — wypadać w Małe Morze.

Zepchnąć jeno baty ze spychu i bieżeć w rodzonej fali, na oczach mając domostwo i noc pewną pod strzechą.

Skoro jednak wypadło bieżeć w Słowińskie na morską rybitwę, ciężką musieli pracę podejmować.

Nie dane im było posiadać zacisznej przystani, gdzieby w spokoju i bez wiatru można było przygotować wyprawę na ów połów godziwy.

Nie mieli miejsca ucieczki, gdy czarna burza spędzi rybaka z przestworu, a do ucieczki przynagli.

A nawet, plonem godziwym obarczeni, musieli ponad siły przy złym wietrze pracować, z tak daleka do dom wracając, gdyż trzeba było przecie Hel prawie cały z obu jego stron remami obciągnąć.

Wiatry morskie nimi, jak wola, rządziły, skoro się w dal wybierali, porówno ze swojakami z Jastarni, Boru, Kuźnicy i Chałup, — porówno ze wszystkimi tamtego brzegu, ze Swarzewa, z Osłanina, z Mrzezina, z Rewy, z Gnieździewa, z Oxywia, czy tam z Gdyni.

Tak to dnia jednego, w samym zaczątku jesieni, bracia Kąkolowie, starszy Józef, Marycin, i młodszy, przezwiskiem Litak pociągnęli na pojazd w tamto morze.

A wyruszyli zaś głęboko jeszcze nadedniem, o dobrze ciemnej nocy, gdy pochodnica zaranna sama jeno stała w niebiesiech, jako blask rozogniony.

Łagodna bryza zachodnia skrzydła płócienne wydymała, gdy za Borem białe, wysokie brzegi ledwie w mroku widoczne mijali.

Józef, jako należy starszemu i przedniemu w maszopstwie, jechał przodem w swej kwaczy, patrząc się wiernie na gwiazdę.

Jan ciągnął za nim posłusznie, w brózdę bra-

tową, helmąt steru ledwie ledwie dotknięciem dłoni wprawiając.

Podobnie jako brat starszy, z gwiazdy pochodnicy spojrzenia nie zdejmował.

Pierwszy się oto brzask niecił za helskim staroborem, gdy dwie pomorzance kępę, głowę gołębia, półokręgiem dalekim na toni okrążały.

Na bystrz ciemną spłynął przedświt niejasny, a w serca braci rybaków niejasna spłynęła radość.

Obadwaj tam nieruchomi jednako, jakby z kamienia wykuci, szuty jeno swych płócien pociągając, aby się podmuchowi przeciwiły, dusze swe blaskiem niebiańskim poili.

Chwalili bezsłownem czuciem w pokorze prostych serc Pańskie poranne dzieło.

Gdy zaś wymijali boję, wiecznie wzdychającą na toni przy tamtym już brzegu, dzień był biały.

Daleko wysunąwszy się w łowiszcze, kędyś naprost Karwi, gdzie brzegów wcale już widać nie było, a głębia płytkiego morza schodziła do metrów trzydziestu, poczęli denne sieci wyrzucać.

Każdy z braci wymiatał sieć swoją, złożoną z matni i dwu krótkich skrzydeł, opatrzonych deskami, które służą do rozpięcia niewodu.

Do skrzydeł i do desek przywiązane mieli długie liny, których końce zostawały w każdej z dwu łodzi, idących pod żaglem.

Niewody, przez łodzie ciągnione, szły po dnie, zagarniając do matni płastugi, stornie, gładysy, a strasząc je pękami charszczu twardego, przytwierdzonemi do liny.

Co pewien czas, to Józef, to Jan wyciągał do wnętrza łodzi swój niewód i wytrząsał z macicy połów dnia tego nad podziw ogromny.

Napełniły się storniami, gładysami, bańtkami dna pomeranków, a dusze rybaków radosne były od pracy i jej pomyślnego wyniku.

Południe przeminęło, — na tę porę strasznie skwarne, parne i duszne, płonące od słonecznych promieni.

Ledwie zaś przeminęło południe, wicher niespodziany skądś powiał.

Morze wzburzyło się nagle.

Fala zarywać się poczęła do topieli, a widnokrąg zawlókł się mrokiem, prawie nocnym.

Zdumieli się obaj rybacy i oczy przecierali, własnym nie wierząc spojrzeniom.

Stanęła przed ich źrenicami na zachodnim skłonie nieba i gnała ku nim właśnie trąba czarna, ukręcona z powietrza i z wody.

Zwara wodna poderwała się z miejsca niskiego, a wiatr lotem po drogach kołowych zawijał ją w lej, skaczący po morzu i trzepiący się w pianach, jako ryba niezmierna.

Powietrze, rzutem z okolicy wyższego do niższego ciśnienia popchnięte, złączyło się z wirem wodnym, jakby go pocałunkami poderwało do siebie.

Słup czarny środkiem morza z zachodu ku wschodowi gnał, wirując.

Ponad tymto czarnym krążelem rozpostarła się potężna ciemna chmura, wylewająca strugi deszczu.

Wokół górnego łba potwory tłukły się masy po-

rozdzieranych obłoków, pędząc od wnętrza wiru ku jego bokom wygiętym.

Zgasło do cna słońce w potopie ulewy.

Z dnia jasnego nagle ciemna noc się stała.

Błyskawice raz wraz rozpalały niezłomne ściany wieży lecącej, a grzmot rozbijał się w obrębie jej zakola.

Obadwaj bracia rybacy rzucili się do ucieczki.

Lecz w którąkolwiek pomknęli się stronę, wiosłami pracując, zawsze wirowy bieg wichury gnał ich ku środkowi zjawiska.

Stargane zostały płótna żagli.

Gdzieś się sieci podziały.

Wyrwały się z rąk i pognały w burzę remy wioseł.

Woda górna spadać poczęła w łódź każdą i napełniać ją sobą.

Rozradowały się ryby złowione pod nogami oszalałych rybaków.

Bałwany, kręgiem zwijające się ponad szkutą Józefa i ponad szkutą Janową, wałem syczącym wyniesione, grzywą wściekłej piany obrosłe, przybrały kształty potworów, które zdało się, z głębin morza wypadły.

Wirem gnało obiedwie łodzie, trzaskające się wzajem bokami.

Krzyk obydwu rybaków stał się obłąkany i głupi, gdy widzieli, iże giną.

Ale starszy wiekiem i w rzemiośle rybackiem zmacał i ujął przecie w sobie twarde męstwo.

Począł młodszemu rozkazywać.

Zakrzyknął: — wodę — korczakiem!

Rzucił się młodszy do korczaków i szufli wylewnych.

Oburącz począł wodę z łodzi nazewnątrz wymiatać.

Krzyże jego zginały się po tysiąc razy, szybciej niż biegnie słowo opisu, ręce w szaleństwie wylewały wodę z głębi.

Starszy czynił to samo w swojej łodzi.

Słychać było w ryku burzy sapanie obudwu i bezładne słowa modlitewnego skamłania.

Lecz mimo pracy tak wściekłej, iż zdolna była siłę burzy pokonać, widzieli obadwaj z przerażeniem, iż się łodzie zanurzają od wzrastającego ciężaru i że wody nie ubywa, lecz przybywa.

Zlani potem wewnętrznym, bardziej, niż potopem zewnętrznym ulewy, noc mieli w oczach, a w duszach szaleństwo.

Bose ich nogi ślizgały się w lepkiej masie ciał rybich, rojących się na dnie łodzi, aż się obaj raz za razem na wznak w wodę walili.

Poskoczyli tedy samotwór obiema stopami na burty.

Na nich stojąc, pracowali bez wytchnienia i aż do ostatniego oddechu.

Krzyk młodszego stawał się coraz częstszy, głośniejszy.

Starszy obejrzał się poza siebie i straszliwą rzecz zobaczył.

Łódź Jana była pełna wody, a on sam stał okrakiem na nadburciu, we wodzie, aż do kostek.

Burty kwaczy, raz bakortem, drugi raz sztymborkiem wynurzały się z piany, jakby jeszcze poratunku szukając.

Rudel pod ciężarem rybaka całkiem się w wodę zawalił.

Plichta statku stromo wylazła i, kołysząc się, stała nad falą.

Przelewy morza szły nad łodzią i między nogami rybaka.

I oto rozległ się krzyk: — Bracie, ratuj!

W czarnych bryłach wody Józef zobaczył młodszego, jako płynie ku niemu.

A sam stał po kolana w przewałach, a sam widział, że mu w łodzi już po nadburcia przybrało, a sam czuł, że mu siły w ramionach ubywa.

W ocemgnieniu zobaczył w głębi siebie twarze dzieci i oczy białki miłowanej.

W takiej oto złej minucie brat Jan ze skowyczeniem rozpaczy do jego burty się dorwał.

W takiej oto złej minucie koślawą lewą dłonią zgrzytał po niej pazurami.

Poczuł we wnętrzności swej Józef zimne i jasne rozumienie, że skoro drugi człowiek do łodzi tej się wwali, nie strzyma statek zatopiony zdwojonego ciężaru i natychmiast na dno pójdzie.

I spokojny mu to rozmysł kazał zrobić, co się wykonaniem spełniło.

Józef schylił się nagłym ruchem, porwał za uchwat wiosła, co przy bakorcie leżało i pchnął niem w głowę Jana.

A potem widział jego ręce, to tam, to sam plaskające między piany, to w głębi, to wierzchem.

I chargot jego słyszał, to we wodzie, to nad wodą.

Raz jeszcze widział jego oczy wpatrzone.

Wtedy otwarła się chmura ponad burzy ośrodkiem i na mgnienie powieki ukazało się niebo.

Wiatr pchnął łódź w jakiś okręg odmienny i poniósł ją w białych pianach dziobem na dół, albo rufą w otchłani, z boku na bok ją magał w przepaściach.

Józef chwytał wodę czerpakiem, bez jednej chwili wytchnienia.

A gdy zdało mu się ukradkiem oczy podnieść za siebie, nie widział już leja wody.

Wiatr srogi dokądś go pędził.

Ani się spostrzegł spracowany, że, mimo ulewnego wciąż deszczu, wody mu w łodzi ubyło.

Gorąco wielkiego szczęścia wskroś ciało jego przejęło.

Wtedy rozejrzał się po okręgach, na wszystkie strony wołając: — Litak! Litak!

Ale morze jeno zbiegane w odpowiedzi chlastało.

A nim wszystkę wodę z czółna zdołał wylać do kropli, dało mu się uczuć przyciszenie orkanu.

Czarny rdzeń burzy kędyś na wschód pocwałował.

Nadeszła wreszcie szczęśliwa minuta, iż Józef przysiadł na duchcie.

Pot otarł z czoła.

A choć przewał jeden po drugim miotał na wsze

strony pławaczką, rybak nie mógł się z miejsca podźwignąć.

Nie mógł myśli swych ruszyć z tego miejsca na burcie, nie mógł oczu zepchnąć wolą z tego miejsca przy dulce, gdzie był widział skostniałą rękę Litaka.

Aż wreszcie runął na błotniste dno łodzi, twarzą między stornie i bańtki.

Długo tam nad nim wiatr huczał i ostra go fala zlewała.

Gdy się zaś porwał o jakiejś godzinie, posępny wieczór zapadał.

Widać było w pobliżu białe helskie wybrzeże.

Niemilknący nigdy głos boi, gwiździela morskiego, w oddali, w swojem miejscu narzekał.

Ach, któż wyrazić potrafi straszliwość nocy jesiennej, zwisającej nad łodzią samotną!

Ach, któż wyrazić potrafi nieszczęście grzesznika, dźwigającego po falach uczynku wspomnienie.

Maszop ujął swe wiosło, ocalone z pogromu.

Patrzał na pióro pojazdy, którem między oczy Litaka uderzył.

Wymacał to miejsce na wiośle struchlałemi palcami.

Milczenie mu wiekuiste nakazał.

Ze wszej mocy ramienia bratobójczą pojazdą pracując, opłynął przylądek.

Zawrócił nos łodzi ku stronie rodzinnej.

Ujrzał wreszcie dziecińskie uśmiechy, białki oczy spłakane.

Matki oczy skostniałe, pytające się o tamtego.

Dał w załamane jej palce, w szale targające

siwe włosy, wiadomość złowrogą, iże orkan zatopił Litaka.

Zachował przed urzędem maszopskim spokojność i godność i zimno dostojne oblicza, gdy, zataiwszy uczynek, wszystko na opak wykręcił.

Wzruszali się mężowie, mocy morza świadomi, słysząc, jako się z bratem obadwaj bronili, jako tamten, daleko wichrami porwany nie strzymał, a starszy nadaremnie go szukał w przepaściach.

Chwalili starszego Kąkola za pracę, za ofiarność, za spokój, za męstwo.

Wieść o nim poszła, od checzy do checzy, od sioła do sioła.

Trzecie morze łez wypłynęło, od tamtych nie mniejsze, ze starych oczu matczynych pod cerkwy drewnianym pułapem.

Tłukł się w ciągu dni i tygodni pogwarek o straszliwej niedoli Litaka.

A potem sprawy chorób i jadła zatatrały wspomnienie.

Nie zapomniało serce matki.

Nie zapomniało wnętrze brata.

Skoro Józef wybiegał na połów w Wielkie-li, w Małe-li morze, — daleko od brzegów odbijał.

Szukał po dnie poprzez wody, przepatrywał oczyma.

Przepatrywał fale przeczyste.

I ryczał w spienioną pustynię z głębi wnętrza, targanego od straszliwej męczarni: — Litak! Litak!

A nieraz, wstawszy w nocy, rzekomo do łodzi, na wywłoce spokojnie leżącej, rzekomo do sieci roz-

wieszonych na potyczach i sochach, brnął na duny dalekie, pustynne, na dzikie wybrzeże i wył w ciemne morze, aby ulżyć wewnętrznej boleści: — Litak! Litak!

Lecz na głos duszy wzywającej głos morza chrapliwie i z sykiem jednakiej zawżdy odpowiedzi udzielał.

Na głos duszy wzywającej gwiździel jeno morski, pław żelazny, ze swego miejsca w oddali, głuchy jęk, niby śpiewkę wieczności odrzucał.

Minęły dnie długie i leniwe tygodnie.

Gdy zaś na jesieni łososie podpłynęły do brzegu i cały lud rybacki wybiegał, aby maszopstwami, poporządku, a pod szypra komendą toń zajmować, Józef stanął wraz z innymi do pracy.

Zostawiwszy stułokciową linę na brzegu, wyjechał w wielkim bacie na morze, wyrzucił prawe skrzydło, macicę, lewe skrzydło niewodu.

Wrócił duchem do brzegu, drugą linę przywożąc.

Stanął sam i pierwszy szlę na ramię zarzucił, — za nim białka i dzieci, a nawet matka stara.

Idąc zaś wstecz, a powoli, idąc jedno za drugiem, spokojnie niewód ciągnęli.

Było bowiem ciężko w macicy i srodze się w niej godne ryby targały.

Radość opanowała rodzinę.

Skoro już gruba matnia wytoczyła się w strądy, ujrzeli, iż jest pełna nad podziw.

Lecz wnet radość powszechna w straszne prze-

mieniła się czucie, gdy wśród wielkich łososi, skaczących w górę po piasku, ujrzeli nieruchomego Litaka.

Kałem morskim zwalany, a oblepiony kidzeną, z raną krwawą na czole leżał z rozkrzyżowanemi rękami.

Przyszedł oto nierychło na wołanie Józefa.

Z głębin morza dalekich, a z bełku przepadłego powrócił, żeby u stopy braterskiej jasne czoło położyć.

O niespodzianej godzinie.

*

Nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana, — przed tysiącoleciem, czyli dzisiaj nadedniem.

Przychodzi po tajemniczą zapłatę o niespodzianej godzinie, jako złodziej.

Lecz czyliż ma śmiertelny, — jako złodziej, — tylko na echo zbrodni, kiedykolwiek dokonanej, chciwego ucha nastawiać?

Czyliż ma słuchać tylko dzwonów, które biją z głębin morza, z miast do cna zatopionych?

Trzeba drugie ucho nastawić na głos dzwonów, bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości.

Bo jak w amarantowym kwiecie pelargonii trwa nieprzerwany upał, ruch, pęd, rozwój i życie, a naszym oczom ukazuje się tylko niemy i zastygły stan kwitnienia, tak samo winno być ze stanem wewnętrznym i z formą zewnętrzną człowieka.

Cierpienie i roskosz wewnątrz być winny.

Nazewnątrz winien być stan nieodmienny uśmiechu.

O, święty, o, boski dzwonie nowy!

W każdym twoim dźwięku jest więcej, niż było w najbujniejszem marzeniu lat młodych, w najpotężniejszym lat męskich zamachu!

Jaka w tobie siła, jaka moc, jaka w tobie potęga!

Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny.

Przychodzimy, jako spadkobiercy Krzywoustego drużyny.

Ona poprzez lasy przerąbała pierwszą drogę dla cichego apostolstwa synów bożych.

Ona szła wielkie rzesze słowiańskie wesprzeć o polskie mocarstwo, obronić i zachować.

My przychodzimy, gdy już rzesze słowiańskie pochłonięte zostały i zniszczone na wieki.

Przychodzimy, aby szczątek ostatni od zagłady uchronić.

Lecz brzmi wśród nas ta sama, nowotna po wsze czasy, cantilena radosna.

Przybywszy na to jałowe wybrzeże, budujemy portowe paliszcza, wprawiamy w ruch nowe koleje, prowadzimy poprzez błota bite drogi i zbogacamy mieszkańców.

Mowę ich bezcenną zachowujemy od zguby.

Jakoby z ręki legendarnego kaszubskiego wielkoluda, stolema, który z oxywskiego półwyspu ciskał wielkie głazy w Radłowo, sypią się na radłowskiem pobrzeżu nowe piękne osiedla.

Strzały armat ze statków wojennych łoskot roz-

noszą po morzu, po dolinach, po górach, głosząc wszem wobec, iż stopa tępiciela nigdy tu już nie postanie.

Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy.

Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i pokój.

Przynosimy dobro i pracę.

PRZYPISY

Dla uniknięcia niejasności, oraz posądzeń o tworzenie neologizmów, co może się nasunąć wskutek wprowadzenia pewnych nowych nazw i określeń, podaję tutaj miejsce narodzin każdego z tych przybłędów do literackiego, wielkomiejskiego języka.

Bakort, — lewy bok łodzi. (Bolesław Ślaski. Słownik morsko-rybołówczy, Poznań 1922).

Bańtka, — mała flądra, *Pleuronectes flessus.* (Ks. Hieronim Gołębiowski. Obrazki rybackie, Pelplin 1910).

Bat, — łódź rybacka o jednym maszcie. (Ślaski. Słownik mor.-ryboł.).

Bełk, — kotlina na dnie morza formy leja. (Ślaski. Słownik).

Bełt, — cieśnina morska. (Samuel Bogumił Linde. Słownik języka polskiego, Lwów 1854).

Bodór, — ość rybacka na węgorze. (Ślaski. Materyały i przyczynki do dziejów... Pucka, Warszawa 1916).

Boja, — syrena pływająca, *Heulboje,* gwiździel. (Ślaski. Słownik).

Brodnik, — niewód pomniejszy do ciągnienia po dnie morza. (Ślaski. Słownik).

Bujowisko, — morze sfalowane. (Ślaski. Słownik).

Burta, — bok statku. (Ślaski. Słownik).

Bryza, — franc. *la brise,* — lekki a stały wiatr na morzu. (Ślaski. Słownik).

Bystrz, — prąd morski, nurt. (Ślaski. Słownik).

Charszcz, czyli *wydmuszyca,* — roślina do utrwalania piasków nad morzem. (Gołębiowski. Obrazki rybackie).

Cerkwa, kaszubskie *cerkvja,* — kościół. (Stefan Ramułt. Słownik języka pomorskiego, Kraków 1893).

Checze, — mieszkanie. (Ramułt. Słownik).

Darga, — węda na szczupaki. (Ślaski. Słownik).

Denega, — wzburzone morze. (Wosz Budzysz. Nowotne spiewe, Poznań 1910).

Dorsz, czyli *pomuchla, Gadus morrhua,* — ryba, poławiająca się jedynie w głębokich warstwach wschodniego Bałtyku. (Prof. Dr. Antoni Jakubski. Rys biologii polskiego morza, Lwów-Warszawa 1923).

Drygawica, czyli *słęp,* — sieć na Wiśle używana. (Ślaski. Rybołówstwo i rybołówcy na Wiśle, Warszawa 1917).

Dulka, — kołek żelazny w burcie statku do opierania wiosła. (Ślaski. Słownik).

Duna, — wydma piasku, zaspa, morska góra. (Ślaski. Słownik).

Głada, — cicha morska toń. (Ślaski. Słownik).

Gładysa, — stornia gładka, bez kolców, *Rhombus laevis.* (Ślaski. Słownik).

Gruntownik, — niewód, po dnie chodzący. (Ślaski. Słownik).

Gwiździel, czyli *boja,* — płynąca syrena. (Ślaski. Słownik).

Hak, — ławica piaskowa w morzu. (Ślaski. Słownik).

Helmąt, czyli *hamulec,* — rękojeść, trzon steru. (Ślaski. Słownik).

Kidzena, czyli *webło,* — trawa morska, *Zostera marina.* (Gołębiowski. Obrazki).

Kiełpie, — łabędzie. (Ślaski. Słownik).

Kipiel, — wielka fala na morzu, niemiec. *Brandung.* (Ślaski. Słownik).

Klin, *kliver, foca,* franc. *le foc,* — żagiel trójkątny na przodzie statku. (Ślaski. Słownik).

Korczak, — naczynie do wylewania wody. (Linde. Słownik).

Krążel, czy *krężel,* — walec drewniany w prześlicy. (Słownik warszawski Karłowicza).

Kręcicha, — wielki niewód, wyciągany zapomocą kołowrotów. (Gołębiowski. Obrazki).

Kwacza, — statek rybacki o jednym lub dwu masztach, niem. *Quase.* (Ślaski. Słownik).

Maszopstwo, — spółka rybaków, łowiąca na własny rachunek. (Ramułt. Słownik).

Mierzeja, — wąski pas lądu, odgradzający zatokę od morza. (Prof. Melchior Neumayr. Dzieje ziemi. Warszawa 1912).

Mikołajek ametystowy, *Eryngium maritinum,* niem. *Stranddiestel.* (Dr. January Kołodziejczyk. Krajobrazy roślinne nad Wisłą. Warszawa).

Nadburcie, czyli *dolban,* — górna listwa nad burtą. (Ślaski. Słownik).

Nieobaczkiem, albo *z nieobaczka,* — niespodzianie, chyłkiem. (Linde. Słownik).

Nietota, czyli *skrzyp, widłak,* — ślad przedpotopowego wielkokrzewu. (Słownik warszawski Karłowicza).

Paczyna, — wiosło duże. (Słownik warszawski Karłowicza).

Paliszcze, — grobla z palów, w dno morza bitych, francusk. *estacade.* (Kazimierz Mokłowski w «Historyi budownictwa drzewnego» paliszczami nazywa budowle nawodne). Ponieważ nie posiadamy nazwy na oznaczenie pojęcia *estacade, digue molo,* — użyłem wyrazu paliszcze.

Pałasz, — skrzydło drewniane w formie de-

ski, umocowane z boku łodzi dla nadania jej większej ostojności na wodzie. (Ślaski. Słownik).

P a w ł o k a, — bardzo cienka tkanina. «Zewlekli Jezusa i oblekli w pawłokę». «Pawłoką jasną twarz zarzucił». «Włosy głowy twojej, jako pawłoka królewska». (Linde. Słownik).

P ł a s k o ć, — franc. *la plage,* nadbrzeże. Wyraz, zasłyszany przez Antoniego Sygietyńskiego z ust rybaków nadwiślańskich i używany przezeń, na oznaczenie «plaży».

P ł a w a c z k a, — łódź. «O, białoskrzydła, morska pławaczko, wychowanico Idy wysokiej, łodzi, bukowa...» (Jan Kochanowski. Odprawa posłów greckich. Chorus).

P o c h o d n i c a, — gwiazda zaranna. «...pochodnica świtu, ta Polaków obronna *stella matutina*» (Juljusz Słowacki «Zawisza Czarny»).

P o d p l u s k, czy *dokład wody,* albo *szelinga,* — fala zalewająca strąd i wracająca do morza. (Ślaski. Słownik).

P i ó r o, albo *ciągło,* — dolna część wiosła, w wodzie zanurzona. «Pióra zowią się końce płaskie u pojazdów». (Linde. Słownik).

P ł a s t u g a, — flądra, gatunek należący do rodziny płastugowatych, czyli bokopływów, *Pleuronectidae.* (Prof. Dr. Antoni Jakubski. Zarys biologii polskiego morza).

P l i c h t a, — przód łodzi z budką dla składania rzeczy. (Linde. Słownik. Ślaski. Słownik).

P o j a z d a, — wiosło nieokute. «Przy burtach obu rozsadził pojazdy». (Klonowicz. Linde. Słownik. Ślaski. Słownik.

P r y s k, — silne bicie bałwanów, wielka fala na morzu. (Ślaski. Słownik).

P r z e l e w a, — silnie wzdymająca się i opadająca fala. (Ślaski. Słownik). «Gdy bok już czółna

nurza się w przelewie, drugi wał dźwignie i nie dał zacichać». (Linde. Słownik).

P r z e w a ł, — wielki napływ fali. (Linde. Słownik).

P o t y c z, czyli *socha,* — drążek z rozszczepem u góry, wbijany na lądzie do zawieszania sieci. (Ślaski. Słownik. Linde. Słownik).

R e m y, — wiosła nieokute. (Ślaski. Słownik).

R e w a, — ławica piaskowa, ciągnąca się w morzu, podwodzie. (Ślaski. Słownik).

R u d e l, albo *rudło,* — «Rudel jest w tyle statku i wychodzi za budę, którym sternik według potrzeby kieruje». (Linde. Słownik).

R u f a, — tylna część okrętu. (Linde. Słownik).

S a d y, — ciemno siwy. «Wołków go sadych ciągnęła para». (Słownik warszawski Karłowicza).

S i o d ł a t y, — szarawy. «Gęsi szarawe, siodłate i pstre nie są tak użyteczne, jak białe». (Linde. Słownik).

S n a d z i z n a, — mielizna, płycizna w morzu, mianowicie przy brzegu. «Z powodu snadzizny Małego Morza...» (Słownik warszawski Karłowicza).

S p y c h, — urwisty, obsypujący się brzeg, wiszar, franc. *la falaise.* (Ślaski. Słownik).

S t o r n i a, — flądra wyrosła. (Ślaski. Słownik).

S t r o i s z, — długa laska, trzon u bodora. (Ślaski. Słownik).

S t r ą d, — brzeg morski, zwłaszcza płaski, nadmorze. (Ślaski. Słownik).

S t r o n a, — wąska smuga wody tuż przy brzegu Wielkiego Morza, pomiędzy progiem a suchą rewą. (Ślaski. Słownik).

S u s t a w y, albo stawy. «Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć». (Juljusz Słowacki. Ojciec zadżumionych).

S z k u t a, — statek wodny. (Linde. Słownik).

S z o r, — bardzo głęboka woda na morzu,

w znacznem oddaleniu od brzegów, odznaczająca się ciemną barwą, wart morski. (Śląski. Słownik). «Woda prze szorem, woda płynie bystro». (Słownik warszawski Karłowicza).

Sztymbork, — prawy bok statku. (Śląski. Słownik).

Szut, — lina do przytrzymywania dolnego, zewnętrznego rogu żagla w pewnym kierunku do wiatru. (Śląski. Słownik).

Szyper, — starszy rybak, przełożony nad maszoperyą. (Gołębiowski. Obrazki).

Takiel, — olinowanie i użaglenie statku. (A. Kleczkowski. Rejestr budowy gaelony. Kraków 1915).

Topżagiel, czyli *wrona,* — mały żagielek u szczytu masztu ponad wielkim żaglem. (Śląski. Słownik).

Tram, — belka główna. «Ciężki tram na zranione ramiona Jezusowe». «Las tramami zarosły». (Linde. Słownik).

Uchwat, czyli *gryf,* — rękojeść, górna część pojazdy, wiosła. (Śląski. Słownik).

Wart, — główny prąd rzeki. «Nurt krzywy i gościniec główny, gdzie ma iść szkuta i dubas warowny, wartem nazywa rotman». (Klonowicz. Flis).

Wata, — gęsta siatka rybacka na dwu drążkach. (Słownik warszawski Karłowicza).

Webło, czyli morszczyna, — trawa morska. (Słownik warszawski Karłowicza. Prof. Dr. Jakubski. Rys biologii polskiego morza).

Wełna, — bałwan morski, fala, wał wodny. «Bóg wzburza morze, a szumią głośno wełny jego». (Linde. Słownik).

Wiestka, — baśń, opowieść. «...jest na Wschodzie wiestka, że się w róży kocha słowik». (Juljusz Słowacki. «Zawisza Czarny»).

Więcierz, albo *żak,* — sieć na węgorze. (Śląski. Słownik).

Wik, — «*Putziger Wieck*», Małe Morze. (Śląski. Słownik).

Wojo, — ster u łodzi. (Śląski. Słownik).

Wywłoka, — miejsce na strądzie, przeznaczone dla wyciąganych z morza łodzi. (Śląski. Sł.).

Wydmuszyca, czyli wydmuchrzyca, — charszcz, *Elymus arcuarius,* niem. *Strandhafer.* (Słownik warszawski Karłowicza. Śląski. Słownik).

Zielenica, — przestrzeń wód morskich w niewielkiej odległości od strądu, odznaczająca się piękną zieloną barwą. Głębokość wody w takich miejscach wynosi kilka metrów. (Śląski. Słownik).

Zasiąklę, — jeziorko wody stojącej po wylewie, nazewnątrz koryta Wisły. (Śląski. Rybołówstwo i rybołówcy na Wiśle).

Zdziar, — wybrzeże, drobnym kamieniem usiane. (Śląski. Rybołówstwo i rybołówcy na Wiśle).

Biblioteka Pedagogiczna Radom Nowe Godzka
58628

108

24
414058 D184